Nr. 27. Warszawa, dnia 5 Lipca (23 Czerwca) 1890 r. Rok X.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NA BEZDROŻU.

I.

Po usunięciu z kanclerstwa ks. Bismarka zefiry polityczne rozniosły w pismach łatwowiernych szept, że dla Poznańskiego również zaświta lepsza dola. Widziano nawet i wskazywano promienie tego brzasku, rozpoznawano blaski tej jutrzenki. Ludzie wszakże rozważniejsi, pamiętający smutne doświadczenia z lepem pruskim a nadewszystko patrzący trzeźwo, wyśmiali to złudzenie, które też rzeczywiście zaczęło słabnąć i pozornie znikło. Tymczasem ku wielkiemu rozczarowaniu wszystkich „mądrych po szkodzie“ wystąpiło ono z niespodziewaną mocą i właśnie tam, gdzie rozum polityczny powinienby je zetrzeć z umysłów— w Kole polskiem sejmu niemieckiego. Jak wiadomo czytelnikom, rząd związkowy zapotrzebował od parlamentu podwyższenia budżetu wojskowego o 18 milionów marek, a nadto, dzięki nieostrożności ministra wojny, zdradził swe dalsze plany, które wkrótce wymagać będą nierównie większych, bo miliardowych ofiar i całą ludność męzką, zdolną do noszenia broni, oderwą od pracy i wtłoczą w szeregi żołnierskie. Jeżeli obecne (o 18,000 głów) pomnożenie siły zbrojnej Niemiec — jak dowodnie wykazał Richter — nie jest wywołane żadną koniecznością i dlatego napotkało w sejmie na opór stronnictw niezależnych, to owe dalsze plany poprostu przeraziły ogół i jego przedstawicieli, powiększywszy opozycyę. Bo stało się jasnem, że — jak mówi przysłowie niemieckie — „kto powiedział A, musi wypowiedzieć B,“ to znaczy: kto zezwoli na 18 milionów marek, musi następnie pozwolić na miliardy. Ponieważ marki nie są manną z nieba spadającą, lecz owocem pracy; ponieważ ludność teraz już dźwiga gniotący ją ciężar podatków a nowe ich brzemię przytłoczy ją zabójczo, więc nawet stronnicy rządu zawahali się w swej zgodzie na postawione im żądania, a niektórzy z nich zwołali nawet swych wyborców dla zasięgnięcia od nich rady. Posłowie polscy nie zwrócili się do swoich mandataryuszów; że zaś są pasierbami i kopciuszkami politycznymi, nieobowiązanymi do żadnych poświęceń dla ojczymów, więc przypuszczano, iż przyłączą się do opozycyi. Zadziwiło to wszystkich, że delegat Koła oświadczył się w komisyi parlamentarnej za projektem rządowym; można było jednak mniemać, że był to tylko krok taktyczny i że podczas rozpraw w Izbie nastąpi zmiana frontu. Istotnie, przy drugiem głosowaniu p. Komierowski w imieniu Koła rozwiązał zagadkę, ale rozwiązał ją tak, że niewtajemniczeni w nią przedtem osłupieli.

„Zadanie — rzekł on — było dla nas bardzo trudne. Prowincye wschodnie (pruskie) naszego kraju finansowo i ekonomicznie zaledwie są w stanie dźwignąć nowe podatki. Z drugiej strony ziomkowie nasi są głęboko dotknięci w swych najżywotniejszych interesach, w religii, szkole i języku. Skutkiem tego pewna część naszej (poznańskiej) prasy zajęła stanowisko przeciwne projektowi. Jeżeli więc *mimo to* głosujemy za projektem, czynimy to przez wzgląd na *uprawnione interesy państwa* (oklaski ze strony polaków, centrum i konserwatystów). Jak oświadczyliśmy się całem sercem za ustawami socyalno-politycznemi, podobnie godzimy się na projekt wojskowy, *gdyż* mowa tronowa ze stanowczym naciskiem zwróciła się do całego państwa, oraz w chęci, ażeby — jak zauważył wczoraj kanclerz — projekt ten o ile można był przyjęty jednomyślnie. Nasz rozwój historyczny świadczy, jak często broniliśmy tronu i ołtarza. Czynimy to i obecnie w mocnej nadziei, że cesarz podniesie swą opiekuńczą rękę dla osłony i złagodzenia cierpień ludności polskiej.“ Mówca spodziewa się, że „lojalna postawa“ tej ludności zyska uznanie rządu związkowego. „Gdybyśmy wszakże zawiedli się — rzekł w końcu — nie na nas spadnie wina za to, że nie nastąpiło porozumienie polaków z rządem.“ Wprawdzie p. Windhorst, mądra głowa tej komety, w której ogonie toczy się Koło polskie, daje zwykle coś wtedy tylko, gdy bierze i ustępstwa wymienia na ustępstwa wzajemne; ale ta praktyczna reguła nie obowiązuje polityków poznańskich, którym wystarcza „mocna nadzieja,“ że coś dostaną. Jeżeli otrzymają tylko kwitek z wyświadczonych usług i awizacyę dla wyborców do płacenia nowych podatków, to nie będą winni zwalenia na ludność straszliwego ciężaru, bo mieli *Zuversicht*, cacankę, która im nie dopisała.

Gdzie niema żadnej logiki, tam sens łowić trudno. Niepodobna też z mowy p. Komierowskiego odgadnąć, jakie właściwie pobudki skłoniły Koło polskie do głosowania za projektem: czy „zwrócenie się mowy tronowej do całego kraju“ i „uprawnione interesy państwa“; czy życzenie kanclerza, ażeby projekt przeszedł z „możliwą jednomyślnością,“ czy chęć okazania „lojalnej postawy“ i „mocna nadzieja“ zyskania siekierki za kijek.

Zastanówmy się nad tą dziwaczną plątaniną motywów.

Naprzód co do „uprawnionych interesów państwa.“ Jeżeli Richter cyframi dowiódł, że żadne z mocarstw ościennych nie przewyższa swą siłą zbrojną Niemiec, to cóż grozi owym interesom i przed jakiem niebezpieczeństwem rycerze poznańscy chcą bronić niemieckiego „tronu i ołtarza“? Koło polskie ma swój mózg w czaszce Windhorsta, a swoje nerwy w jego partyi (ultramontańskiej), za którą idzie zwykle ślepo bez badania drogi i celu, bez uwzględniania potrzeb ludności własnej. A jednakże piąta część tej partyi, mimo uległości dla swego przewodnika, mimo wszystkich jego namów, wykrętów i zabiegów, głosowała przeciw projektowi rządowemu! Czyż Koło mniema, że bawarowie i welfowie są gorszymi od jego członków patryotami niemieckimi? Czy ono sądzi, że może i powinno dawać z siebie wzór tego patryotyzmu

demokratom i postępowcom, którzy stanęli w opozycyi? Czy ono tylko naruszyłoby „jednomyślność“ w przyjęciu projektu, przeciw któremu oświadczyło się 128 posłów? Przedstawiciele Niemiec południowych, którzy przeszli do tego zastępu, nie dali się uwieść sofistyce Windhorsta i upewnieni, że państwu wystarczają obecne środki wojskowe, bronili od wyzysku podatkowego swoje dzielnice, które ich wybrały; tymczasem poznańczycy wobec tej samej pewności pozwolili się zaprządz do wozu handlarza polskich wołów i zapomnieli zupełnie o niwie rodzinnej, dla której pracować powinni. I czemże im odpowiedziano na ten popis lojalności, na ten wysiłek patryotyzmu niemieckiego ze strony tych, na których uznanie liczyli? Szyderczym śmiechem, którego tony powtórzymy w numerze następnym.

Z AUSTRYI.

Jak w ministrze Bauerze odkryto polaka. — Zwiększenie pogotowia wojennego. — Wojna o świnie. — Serbia przepadła, Bułgarya zdobyta! — Obiad delegacyjny. — Dyskusya cesarza z delegatem. — Manifest biskupów austryackich. — Preludya wyborcze.

Obrady delegacyi w Peszcie toczą się trybem dość jednostajnym: ministrowie przedstawiają żądania swe o kredyty, delegacye przerażają się ogromem tych żądań, aby potem, prześcigając się wzajemnie w lojalności, wydać wyrok, który wyegzekwowanym będzie na kieszeniach poddanych. Najfatalniej powiodło się ministrowi wojny, Bauerowi, który opuściwszy na chwilę zwykłą drogę dyplomatyczną „cichych“ kredytów dodatkowych, z żołnierską otwartością oświadczył, że w najbliższej przyszłości zajdzie potrzeba zwiększenia wydatków wojskowych o 120 milionów. Po tem oświadczeniu szmer oburzenia rozszedł się po sali obrad. Można nawet przypuścić, że nie był on udanym wyrazem pieczy o dobro ogółu obywateli, którą delegaci chętnie się popisują, lecz że wyszedł mimowoli z piersi mężów stanu, widzących w budżecie wojskowym na rok przyszły poważną cyfrę $2\frac{1}{2}$ milionów, uchwalonych jako nadzwyczajny wydatek na wprowadzenie prochu bezdymnego, wiedzących, że tę kwotę niezawodnie wypadnie przekroczyć w dwójnasób i że ogólna cyfra wydatków, potrzebnych na zmiany w uzbrojeniu armii, wynosi, według zapowiedzi rządu 12, a wedle rozpowszechnionych pogłosek— 30 milionów. W pierwszej chwili sądzono, że minister Bauer żąda 120 milionów po za kosztami zmian w uzbrojeniu; to też oburzenie delegatów i prasy doszło do tego stopnia, że przypomniano sobie, iż Bauer jest galicyaninem— a nawet polakiem mienić go zaczęto. Kiedy strapiony w następnym dniu obrad rozpoczął powolną rejteradę, kiedy zwłaszcza oświadczył, że do wydatku 120-milionowego wliczał już koszta reform w uzbrojeniu, przestano wprawdzie wytykać mu winę pochodzenia, lecz nie uspokojono się bynajmniej. Nie pocieszyła delegatów uwaga Bauera, że wydatki tego rodzaju samym swym ogromem doprowadzić muszą do wzmocnienia ogólnego pokoju.

Główna część tych nowych wydatków przypada na koszta zwiększenia dotychczasowego pogotowia wojennego. I tę sprawę minister z rzadką otwartością wyjaśnił delegacyom, co znów spowodowało oburzenie u kolegów jego na ławie ministeryalnej. Hr. Szapary, porwawszy się z siedzenia, oświadczył niemal szorstko, że przedwczesnem byłoby traktować sprawy, co do których oba rządy jeszcze się nie zgodziły, i że w imieniu delegacyi węgierskiej żądać będzie, aby podniesione wymagania ministra wojny pogodzić ze stanem finansów węgierskich. Zważywszy, że dla zwiększenia pogotowia wojennego potrzebną jest zmiana dotychczasowej ustawy o sile zbrojnej, a odnośny projekt rządowy przyjdzie prawdopodobnie już w sesyi najbliższej na porządek obrad obu parlamentów, przewidywać można długą i zaciętą dyskusyę, która zwłaszcza u węgrów, jak to okazała przeszłość niedawna, przyjąć może formy groźne.

Bardziej, aniżeli tok obrad delegacyjnych, zajmuje publiczność i prasę obecnie zatarg z Serbią, który, do niedawna politycznej jeno natury, przemienił się obecnie na walkę ekonomiczną. Wiadomo, że nowy poseł Simic oburzył hr. Kalnokego i pobudził gabinet austryacki do stanowczego kroku, mimo not rządu serbskiego, dążących do zażegnania burzy. Węgierski minister handlu pod pozorem, że istnieje zaraza, wzbronił przywozu świń serbskich do Austryi. Ponieważ zaś dobrobyt Serbii w znacznej części zależy od zbytu trzody chlewnej, którą kraj ten na wielką stopę hoduje, przeto zagrożone są żywotne interesy ekonomiczne Serbii. Hodowcy, jak zwykle, zaciągnęli kredyty w bankach, a skoro we właściwym czasie rynki austryackie są dla nich zamknięte, nastąpić może katastrofa finansowa. Austrya w ten sposób zamyśla wywrzeć nacisk na serbów i zmusić ich do obalenia rządu radykalnego i do ponownego wyniesienia Garaszanina, poplecznika austryackiego. Właśnie wrócił on do Serbii dla zorganizowania rozluźnionej partyi postępowej, która sprzyja Austryi. Zaufanie bowiem do Milana ochłodło tu znacznie a pobyt jego obecny w Serbii nie jest uważany bynajmniej za okoliczność korzystną dla interesów Austryi. Na razie jednak serbowie nie okazują ochoty do ulegania presyi austryackiej. Simic już, bawiąc w Budapeszcie, zagroził, że serbowie chwycą się środków obronnych. Dunaj i koleje żelazne—oświadczył współpracownikowi *Egyetertesa* — otwierają Serbii świat cały. Dotychczas zaopatrywała się ona w wyroby przemysłowe z Austryi; lecz nic dla niej łatwiejszego, jak zwrócić się do fabryk angielskich lub francuskich. Groźba ta ziściła się rychlej, aniżeli przypuszczano: dziś już bowiem odwołano mnóstwo obstalunków większych, poczynionych w fabrykach austryackich, zwłaszcza w Wiedniu, a serbscy agenci handlowi objeżdżają równocześnie Francyę. Stąd w świecie przemysłowym silna powstaje opozycya przeciw polityce hr. Kalnokego, której delegacye dopiero co przyklasnęły tak żywo; istnieje sprzeczność pomiędzy interesami zewnętrznej polityki austryackiej a ekonomicznymi jej interesami, sprzeczność, która niezawodnie, jak w podobnym wypadku wobec Rumunii, skończy się klęską przemysłowców. Hr. Kalnoky i organy jego pocieszają strapionych fabrykantów nowym tryumfem polityki austryackiej: oto Nacewicz, mąż zaufania hr. Kalnokego, powołany został do Bułgaryi, gdzie zostać ma ministrem spraw zewnętrznych. W ten sposób Austrya, postradawszy wpływy w Serbii, ugruntowała je tem silniej w Bułgaryi.

Niezwykłą cechę miał drugi obiad delegacyjny, wydany przez cesarza w Budapeszcie. Podczas gdy zazwyczaj monarcha przemawia do wszystkich delegatów, żądając jeno odpowiedzi na krótkie swe pytania, tym razem mówił z wybitniejszymi tylko członkami, zapuszczając się w dłuższe rozprawy i przysłuchując się uważnie wywodom. Rozmowa jego z Riegerem wyglądała niemal na dyskusyę. Kiedy zauwa-

---

Puk, puk!

przez

E. de Marchi.

Już było po północy, a August wciąż jeszcze stukał na dole, w swojej komórce. „A niechże cię...“, wykrzyknąłem rozgniewany, wsadziłem pióro w kałamarz, poszedłem do okna, otworzyłem lufcik, wytknąłem głowę (śnieg padał!) i zawołałem ku dołowi:

— Powiedz mi, u licha, jak długo jeszcze trwać będzie ta przeklęta muzyka?

August przerwał robotę, ale w ciszy nocnej wyraźnie jeszcze słychać było skrzypienie desek i brzęczenie gwoździ.

Otuliłem się dobrze w swój wyszywany w kwiaty, podbity flanelą szlafrok, rozgrzebałem ogień w piecu, wziąłem pióro na nowo do ręki i ciągnąłem dalej urwane zdanie:

„...chociaż wszystkie sprawy ducha ludzkiego zmierzają do zadowolenia egoizmu, jak rzeki do morza, i tym sposobem niepodobna zgodzić się ze zdaniem panteistów i idealistów, którzy podkładu moralnego szukają na zewnątrz człowieka; chociaż...“

Trzeba wiedzieć, że pisałem wówczas rozprawę filozoficzną, przeznaczoną na konkurs. Była to praca, która bezwątpienia wywołałaby wiele hałasu, trzymałem ją bowiem w tonie mocno polemicznym, co jest koniecznem w obecnej dobie gnuśnego zniechęcenia. Zajęty byłem właśnie wygładzaniem wstępu: „chociaż najwznioślejszy sceptycyzm nie jest niczem więcej, jak tylko ubóstwieniem naszego „ja“...“

Puk, puk!

August na nowo zaczął stukać młotem, jak poprzednio. Starałem się nie słuchać pukania i ciągnąłem dalej: „Büchner, Moleschott, Strauss, Hartmann...“

Puk, puk!

Zatkałem sobie lewą ręką ucho i pisałem dalej: „August Comte, twórca altruizmu...“

Puk, puk, puk!

To już było nie do zniesienia. Rzuciłem pióro na książkę, jedną ręką uchwyciłem lampę, drugą — kij i zszedłem o dwa piętra na dół, gdzie w oficynie mieścił się August. Miałem stanowczy zamiar dać mu porządną nauczkę. Niechże kto powie, czy podobna, aby istota ludzka prowadziła studya, tworzyła coś wielkiego i nowego, kiedy gdzieś w pobliżu, na dole, jakiś gbur nieokrzesany stuka i wali młotem!

August, o ile wiedziałem, był to syn gospodyni — niedołęga w wieku lat osiemnastu, długi, jak tyka chmielowa, o rudych, krótko strzyżonych włosach, z parą uszu, ciągnących się w nieskończoność, z pięknemi oczami barwy masy perłowej.

Należał on do istot rozumnych, o ile te odróżniają się od zwierząt bez przewodnictwa latarki rozumu. Tak, cokolwiekbądź, należał on do rzędu istot, które zdolne są odciąć sobie głowę, aby zajrzeć, co się dzieje w jej wnętrzu. Brał piłę od stolarza i pracował, jak maszyna, kiedy on sam i jego piła stawała się gorącą. Sokrates, boski Sokrates nie zdołałby z jego rudej dyni wycisnąć ani kropli soku mądrości. Żaden idealista nie uznałby w nim szczebla tej transcendentalnej drabiny, która sięga po nad obłoki.

Postawiłem lampę na ziemi, poszedłem do wązkiego okienka i ujrzałem przez szyby w oświetleniu łojówki mojego filozofa: siedział on na stoliku i obracał w ręku jakieś niezgrabnie zbite, grube kawałki drzewa.

Zapukałem w szybę, kazałem otworzyć okienko i począłem krzyczeć w najwyższym gniewie:

— Czy chcesz, żeby mój kij zaznajomił się z twoją rudą skorupą, ty, krokodylu, ty? Czy to jest odpowiednia godzina? Czy budujesz szubienicę, na której jutro masz wisieć? Ty, obrzydła żyrafo!

żył, że ludność czeską niepotrzebnie podburzono pustymi frazesami — charakterystycznem jest opieranie się cesarza faktowi wzrostu wpływu młodo-czechów i istocie ich żądań — Rieger odparł, że rząd powinienby uczynić, co może, to jest uregulować wewnętrzny język urzędowy. W tej sprawie — rzekł monarcha — należy baczyć zawsze na interesy służby państwowej. Doświadczenie okazuje — zauważył Rieger — że ani interes państwa, ani służby państwowej narażony nie będzie, skoro stanie się zadość wymaganiu stosunków, podobnie jak to miało miejsce w Galicyi, w Tyrolu południowym i w Dalmacyi. Do tego dojść nie powinno — odparł cesarz — aby urzędnicy władać przestali językiem niemieckim. Rieger dowodził, że obawa ta nie ziści się, skoro szkoły średnie w odpowiedni sposób będą zorganizowane a system nauczania języków zmieniony. Przypomniał również wniosek Clama, który zdąża do tego celu, nie mijając się z zasadniczemi ustawami państwa. Owszem — rzekł cesarz — kończąc rozmowę z Riegerem, reformy te są pożądane, o ile konstytucya ich dopuszcza.

Nadchodzące wybory sejmowe obecnie już żywą wywołały agitacyę, zwłaszcza w krajach alpejskich, które pierwsze przystąpią do urny. Biskupi austryaccy ogłosili manifest, w którym wyjaśniają motywy energicznego swego orędowania za szkołą wyznaniową i wzywają pobożnych do wybierania posłów, sprzyjających tej idei. Przyznać trzeba, że i biskupi nie zupełnie pozostali w tyle za postępem czasu; a z manifestu ich wieje poniekąd duch nowoczesny: zamiast bowiem, jako nagrodę za wybór licznych posłów klerykalnych i za popieranie szkoły wyznaniowej obiecywać ludowi wieczne zbawienie i rozkosze rajskie, zapowiadają, że szkoła taka rozwiąże groźne kwestye społeczne i zaklnie upiór socyalizmu.

W innych krajach austryackich wyborcy zadowalają się drobniejszemi powodzeniami. I tak na Szlązku i w Morawii prasa słowiańska cieszy się tryumfem, uzyskanym wskutek umowy czechów z polakami: jest nadzieja, że stronnictwo autonomiczne odbije niemcom dwa mandaty. Niewielka z tego korzyść, lecz pociecha wielka.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wbrew oczekiwaniom major Panica, przewodnik spisku politycznego w Bułgaryi, został rozstrzelany. Ponieważ śledztwo wykazało, że zamierzał on tylko usunąć, lecz nie zabić ks. Koburskiego, więc przypuszczano, że ten skazanego na śmierć ułaskawi. Za tem przypuszczeniem przemawiał również wzgląd na nieuprawnione formalnie stanowisko księcia, który mu zalecał ostrożność i wyrozumiałość. Tymczasem Koburg nie uległ pobudkom miłosierdzia i dbałości o stosunki zewnętrze, lecz, naśladując Piłata, wyjechał na czas wykonania wyroku za granicę. Czy krok ten nie był błędem politycznym — zobaczymy w następstwach. Rządy nie ujawniły dotąd swych poglądów na tę sprawę, ale odzwierciedlająca ich zapatrywania prasa wypowiedziała się już stanowczo. Austryacka pochwaliła energię rządu bułgarskiego, niemiecka zachowała się obojętnie, francuska rzuciła gromy potępienia. W tych różnicach odbija się obecny układ stosunków międzynarodowych. Jednym z celów podróży ks. Koburskiego po Europie jest zapewne osłabianie wrażenia, sprawionego tym wypadkiem.

Z innych jeszcze objawów wnosić można, że Bułgarya postanowiła wygrać coś ryzykowną energią. Zbliżyła się ona widocznie do Austryi, a z drugiej strony wystąpiła ze stanowczemi żądaniami do Turcyi, grożąc ogłoszeniem swej niepodległości w razie, jeżeli ks. Koburski nie zostanie uznany przez Portę prawowitym władcą Bułgaryi. Dotąd wszakże są to tylko zapowiedzi.

Serbią wstrząsnęły burze zewnętrzne i wewnętrzne. Naprzód sprawa trzody chlewnej, przed którą zamknięto granicę austryacką i wogóle nacisk z Wiednia, niezmniejszający swej siły; powtóre wrzenie, wywołane pobytem ex-króla. Milan, który mimo wszystkich przeprosin, serdecznie nienawidzi obecnego rządu serbskiego, wyłonionego z wrogiej mu partyi radykałów, na uczcie u rektora uniwersytetu belgradzkiego wypowiedział przeciw nim ostrą mowę. Rektor dostał za to dymisyę, a Milan ma go mianować guwernerem syna. Zestawmy te sprzeczności: ojciec małoletniego monarchy gromi rząd, działający w imieniu jego syna, a przytem daje młodemu królowi za opiekuna człowieka, którego rząd królewski usunął z urzędu. Trudno wyobrazić sobie cudaczniejsze powikłanie stosunków.

Cesarz niemiecki rozpoczął znowu szereg swych niezmordowanych podróży. Z Danii pojechał do Szwecyi, a stamtąd zapewne podąży gdzieindziej.

Bismark wysapał się już nieco z gniewu i zmiękł, ale nie przestaje od czasu do czasu uderzać głową o mur. Gdy żadnego z kilku opróżnionych miejsc w sejmie nie ofiarowano mu, oświadczył, że jeszcze teraz o mandat poselski ubiegać się nie będzie. Przypisują mu także uczestnictwo w wydaniu broszury przeciw układowi anglo-niemieckiemu.

Brukselska konferencya przeciw niewolnictwu zakończyła swoje obrady następującemi uchwałami: 1) należy zorganizować stały nadzór nad koloniami w Afryce, gdzie operują handlarze niewolników; 2) utworzyć stacye zbrojne; 3) budować drogi i koleje żelazne; 4) zaprowadzić parowce na rzekach i jeziorach afrykańskich oraz linie telegraficzne. Następne artykuły określają szereg zakazów, dotyczących przywożenia broni oraz posiłków dla przedsięwzięć prywatnych, mających na celu tamowanie nieco handlu, wreszcie do tych życzeń dołączone są przepisy rewidowania okrętów.

Europejscy posłowie Stanów Zjednoczonych zawiadomili swój rząd, że mocarstwa, zagrożone w swych interesach protekcyjnym systemem ceł Ameryki, zamierzają wypowiedzieć jej wojnę ekonomiczną.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

POD TEN SAM STRYCHULEC.

Zbliża się chwila, gdy zakres działania prawa fabrycznego w swej zmienionej postaci, co do przepisów o pracy kobiet i dzieci, zostanie rozszerzony i na zakłady *rzemieślnicze*. Jakkolwiek to rozszerzenie działania jego zależne ma być od sankcyi ministra, od względów, czy to by nie stanęło w drodze rozwojowi rzemiosł, sam sposób powstawania ruskiego prawa fabrycznego nie daje powodu do przypuszczeń, żeby wyzysk, zaczajony w ciemnych kryjówkach drobnego kapitału, śmiał długo urągać humanitarnym dążnościom przepisów normujących. Każdy, kto choć pobieżnie śledził koleje, przebywane przez nasze prawo fabryczne, spostrzedz musiał rys charakterystyczny. Oto po każdem trzyleciu, w cią-

---

August w istocie podobny był do żyrafy; osobliwie w tej chwili, gdy rozsiadł się z wiszącemi nogami, z oczami utkwionemi w górę, z długą szyją, która obracała się na wszystkie strony, wraz z czerwoną małą głową — przypominał on mocno to zwierzę pustyni.

— Co pan każe, kochany panie? — rzekł, zatrzymując spojrzenie na zasuwce drzwi.

— Chcę, żebyś natychmiast przestał!..

— Moja robota już prawie gotowa...

— Szubienica?

— Nie, krzyż, kochany panie.

— Co za krzyż?

— Dla mojej biednej matki.

August pochylał się to w jedną, to w drugą stronę, jak wierzba pod wiatrem; wreszcie obrócił się do ściany.

— Kiedyż umarła twoja matka? — zapytałem po krótkiem milczeniu.

— W tamtym tygodniu... w szpitalu. Poszedłem odwiedzić ją... Był już wieczór... prawie wieczór. Wcale nieznać było, że jest tak źle z nią. Naraz zaczęła krzyczeć: „Umieram!.. umieram!.. umieram!... Pobiegłem po dozorcę chorych... Ksiądz przyszedł także... Ale nie powiedziała już nic więcej... nic więcej..."

August zdrapywał machinalnie paznokciem wapno ze ściany i ciągnął dalej:

— Mój majster nie chciał mi dać kawałków starej żaluzyi; przepiłowałem więc deski z mojego łóżka. Powiada on także, iż kradnę mu czas, w którym winienem pracować przy warsztacie...

— Ale czy wcale nie pomyślałeś o tem, że twojem pukaniem przeszkadzasz wszystkim sąsiadom?

— Tak, pan ma słuszność, kochany panie; zejdę do piwnicy.

Znajdowałem się znowu w moim ciepłym pokoju i siedziałem w miękko wysłanym fotelu:

„...bodziec wszystkich naszych występków, powodująca przyczyna naszych obowiązków, a nawet naszych ofiar — gdzieżindziej da się odnaleźć, jeżeli nie w samym subjekcie?

...Puk, puk!..

Z piwnicy dochodził stłumiony odgłos, jak gdyby pochodzący z grobu: zdawało się, że to puka pogrzebany żywcem, zdawało się... To nic nie było — ja wiem o tem — ale kiedy pisze się i myśli, wówczas powiew skrzydeł komara wywiera huragan.

...„Słusznie zauważył Lange, że świat atomów, z ich wibracyami, wydaje mu się chłodnym i obcym; metafizyka, a wraz z nią wszelka myśl o opatrzności, o nieśmiertelności duszy jest porywaniem się naszego „ja" na niebo..."

Z powodu tego zdania oczekiwałem najwyższego oburzenia ze strony moich przeciwników; ale doprawdy czas już był, ażeby nauka uwolniła się od hamulców ślepego uczucia...

Puk... puk!..

„Dopóki nie powiemy sobie, że duch, dusza, sumienie, są to tylko abstrakcyjne słowa, które służą jedynie dla scharakteryzowania jednego z najwybitniejszych momentów organizacyi, zwanego życiem..."

Puk... puk!..

...„dopóty nie pójdziemy ani na krok dalej. Niema zjawisk po za życiem, nic tedy nie może powstać inną drogą, jak tylko drogą — organicznych kombinacyj, z których wypływa życie..."

Puk... puk!..

...„a kombinacye te są podrządkowane istnieniu..."

Puk... puk... puk... puk!

Na jedenastu, dwunastu wieżach miasta wybiła pierwsza. Żadnego szmeru na ulicy, w podwórzu; tylko w piwnicy August walił młotem dalej.

Na ulicy trwała śnieżna zawierucha; ale gdy się siedzi w ogrzanym pokoju, gdy się jest otulonym w wyborny szlafrok, gdy ma się na nogach doskonałe pantofle filcowe — to i najpozytywniejsze myśli trzymają się ciepło; a jednak tej nocy niepodobna mi było związać porządnie dwu: byłem zirytowany, zniechęcony, rozdrażniony — zaledwo udawało mi się uchwycić jakąś myśl, na-

gu którego czasowo, rodzajem próby działa, przechodzi ono pewne fazy postępowo-rozwojowe. W jednym kierunku pod wpływem doświadczenia traci niektóre paragrafy, w innym znów zbogaca się nowymi, które niewątpliwie stanowią rozumne ustępstwo naglącej rzeczywistości i zarazem służą za dowód postępowego wzmagania się humanitarności, rozpierającej coraz bardziej szczupłą literę prawa. Takiemu losowi uległy przepisy o pracy kobiet i dzieci z r. 1885. Zawieszono je, jako skrzydło opiekuńcze nad upośledzoną siłą roboczą, a jako miecz Damoklesa — nad kapitałem, ale na trzy lata tylko, w obawie, czy biedaczek z swoją „techniką produkcyjną" wytrzyma. Próba wypadła poniekąd pomyślnie. Przepisy, mające moc obowiązującą do kwietnia r. b., zostały nadal przedłużone, a tymczasem zrobiono ich poprawną edycyą. Jakkolwiek w swoim czasie (w nr. 12 *Prawdy* z b. r.) pisaliśmy już o projekcie rewizyi rzeczonych przepisów, ale dziś, z powodu sankcyi Najwyższej, przejrzyjmy je jeszcze raz przynajmniej w wybitniejszych punktach. Otóż przez zmianę i uzupełnienie odpowiednich artykułów księgi I-ej prawa fabrycznego (Zbiór praw, tom XI cz. II, wyd. z r. 1887) uchwalono następujące przepisy:

1) Przy zachowaniu ogólnego przepisu o długości czasu pracy małoletnich, zawartego w artykule 114 prawa fabrycznego, małoletni najmici w wieku od 12—15 lat, o ile tego wymaga technika produkcyi, zatrudniani będą w fabrykach i zakładach przemysłowych do *sześciu* godzin z rzędu, ale pod warunkiem, że ogólna długość dnia roboczego w danym wypadku nie przewyższy *sześciu* godzin. Właściciel zakładu przemysłowego, korzystający z pracy małoletnich na powyższych zasadach, winien donieść o tem miejscowej inspekcyi fabrycznej.

2) Jako wyjątek od tego stanowi przemysł hutniczy, gdzie małoletni w oznaczonym wieku mogą być dopuszczeni do pracy nocnej w ciągu *sześciu* godzin na dobę, lecz z warunkiem, że następnego dnia będą zajmowani po upływie *dwunastu* godzin, od chwili zwolnienia z roboty nocnej.

3) Zatrudnianie małoletnich od 12 do 15 lat w niedzielę i dni świąteczne może być dozwolone, ale w takich fabrykach, gdzie w tym czasie robotnicy dorośli pracują oraz za pozwoleniem głównego inspektora, zawisłem od przedstawienia miejscowych organów inspekcyi.

4) Praca nocna wyrostków od lat 15 do 17 oraz kobiet ma być wyłączona w zakładach przemysłowych wytwarzających: wyroby bawełniane, płócienne, wełniane, w przędzalniach lnu i fabrykach tkanin mieszanych, tj. wogóle w przemyśle przędzalniczo-tkackim, szkodliwym dla organizmów słabszych. Zakaz ten, po uprzedniem porozumieniu się miejscowych organów dozorczych z ministeryami spraw wewnętrznych i skarbu oraz zawiadomieniu fabrykantów przed upływem terminu najmu robotników, może być również rozciągnięty i na *inne* zakłady przemysłowe.

5) W wypadkach, godnych szczególniejszego uwzględnienia, mianowicie po długiej, spowodowanej nieszczęściem przerwie robót w fabryce lub w czasie wielkich przedjarmarcznych zamówień, komisye do spraw fabrycznych, a gdzie ich niema—gubernatorzy pozwalać mogą wyrostkom 15 do 17-letnim oraz kobietom na pracę nocną w tych samych zakładach przemysłowych, gdzie ona jest wzbroniona osobom wymienionym, ale z warunkiem, żeby te ostatnie w ciągu dnia następnego dopuszczane były do zajęć dopiero *po południu*. Nadto rzeczone władze mogą pozwalać wyrostkom i kobietom na pracę nocną w zakładach, podległych wzmiankowanemu ograniczeniu, w takim razie, jeżeli jednocześnie z nimi pracować będą ich głowy rodziny.

6) W zakładach, gdzie trwa nieprzerwanie *osiemnastogodzinna* praca dzienna z dwiema zmianami, przepisy o pracy kobiet, dzieci i wyrostków winny być stosowane w następujący sposób: a) małoletni w wieku od 12 do 15 lat mogą pracować tylko *dziesięć* godzin na dobę, przy trwaniu roboty nie dłużej nad *cztery i pół* godziny z rzędu; b) czas nocny, wzbroniony dla małoletnich, w wieku od 12 do 15 lat, wyrostków od 15 do 17 lat i kobiet — liczy się od godziny *dziesiątej wieczorem* do godziny *czwartej rano*.

Takie jest brzmienie tych przepisów, poddanych przejrzeniu prawodawczemu. To nowe wędzidło na wybryki kapitału, jak widzimy, jest poniekąd łagodniejsze od uprzedniego. Bezwzględność zakazu pracy nocnej w myśl życzeń „techniki produkcyi" zmniejszono i zaopatrzono w furtki, które przy pewnych okolicznościach, za zgodą wyższych władz, będą otwierane. Na straży działania tych przepisów stanie odnośny artykuł kodeksu karnego (z r. 1885), opiewający za wyłamywanie się z pod nich najwyżej areszt miesięczny lub grzywnę, nieprzenoszącą *stu* rubli. Z dniem ogłoszeni niniejszego prawa, dzieci, które nie doszły lat 12, nie będą przyjmowane w *żadnym razie* do dziennych robót fabrycznych, choć ciaż biorące już w nich udział, zgodnie z zasadą niedziałania wstecz nowowydanego prawa, pozostać mogą nadal przy zajęciach w warunkach niedozwolonych. Przepisy te wraz z przepisami o pracy i nauczaniu małoletnich, wyłożonymi w artykułach 112—126 prawa fabrycznego (Zbiór praw, tom XI, cz. VI, wyd. z r. 1887), mają być rozciągnięte na *zakłady rzemieślnicze*, w miarę pożytku i utrzymają tam moc obowiązującą w ciągu trzech lat. W tym obrębie czasu ostateczny wniosek, w sprawie ich stosowania do pomienionej formy produkcyi, zostawiony będzie uznaniu Rady państwa.

To nowe prawo wprowadzone będzie w wykonanie z dniem 1 (13) października 1890 r., stosowanie zaś przepisów co do nieprzyjmowania dzieci, młodszych nad lat 12, oraz kary za wyłamywanie się z pod ograniczeń, rozpocznie się na zasadach ogólnych z chwilą ich ogłoszenia.

Jeszcze raz podkreślmy nowy rys naszego prawa fabrycznego, mianowicie rozszerzenie jego działania na zakłady *rzemieślnicze*, czyli na mały kapitał. To postawienie drobnej produkcyi pod jednym strychulcem z wielką jest dla nas faktem wielkiej doniosłości: równa się to postawieniu dwu niejednakowej siły ludzi w podobnych, lecz trudniejszych warunkach działania. Jednocześnie z zadośćuczynieniem wymaganiom humanitaryzmu, pojawi się w łonie mniejszej produkcyi nieznany dotąd czynnik i zaważy na szali jej istnienia w dotkliwy sposób. Nim wielki nasz przemysł ulegnie zapowiedzianej przez niecierpliwych statystyków i pochopnych wróżbitów zagładzie, warto pamiętać o tem niejednakowem ciśnieniu na dużych i małych — regulamentacyi prawnej.

Dzieje zachodnich prawodawstw fabrycznych nas uczą, że w chwili, gdy przepisy tych ostatnich, w postaci zakazów lub surowych ograniczeń pracy dzieci i kobiet, krępowały wielką produkcyę, to wielki kapitał umiał sobie żłobić szersze koryta wytwórczości, za pomocą udoskonaleń technicznych, i zawsze pozostawał panem rynków. Ale oko dozoru prawodawczego, zwrócone na drobne warsztaty rękodzielniczo - rzemieślnicze, te same reguły zastosowane do małej produkcyi, ale drobny kapitał ujęty w kluby dnia normalnego (nieuświęconego prawem) i przepisów o pracę kobiet i dzie-

---

tychmiast płoszyło ją nieustające, przeklęte pukanie.

Zły wlazłem pod kołdrę i zagasiłem lampę. Cały tłum obrazów obległ mnie, rzucił się na mnie. Myśli okrągłe i grube, cienkie i ostre, idee abstrakcyjne, nalane w aptekarskie flaszki, nagromadzały się przede mną... Następnie wszystko to poczęło wirować, unosiło się w dzikim tańcu „powodujących przyczyn," po lodowatych, usianym krzyżami stepie. August znajdował się w pośrodku, miał w ręku miotłę. Na sklepieniu nieba wznosiła się szubienica, na której świecił napis: „zamach jaźni."

Nareszcie zasnąłem. Spałem do samego rana. Kiedy otworzyłem oczy, przez okna moje wpadał blask słońca, pięknego styczniowego poranku, wraz z połyskiem zaścielającego ogród śniegu. Na gzymsie okna ćwierkały przeziębłe i zgłodniałe wróble. Biedne stworzonka! Cóż obchodzą je wszystkie nasze głupstwa? To tylko pewne, że okruszynka chleba sprawia im więcej uciechy, niż nam cała nasza wiedza.

Widziałem Augusta; nadawał właśnie zieloną barwę krzyżowi, który tkwił w kupie śniegu; kończył robotę.

Miał na sobie swoją odzież niedzielną; na głowie jednak nosił słomiany kapelusz, przy spojrzeniu, na który już mróz przechodził do kości.

— I cóż ty teraz z tem zrobisz? — zapytałem go, otwierając okno.

— Dzień dobry, kochany panie! Dzisiaj jest niedziela i dziś właśnie chcę go postawić na grobie... Właśnie ci, co umierają w szpitalu, nie otrzymują wcale krzyża. Chowa się ich we wspólnym grobie. Ale ja znam grabarza, to mój brat cioteczny —nie wiem, czy go pan widziałeś? Zezuje na lewe oko. Powiedziałem mu: „Ludwiku — mój brat cioteczny nazywa się Ludwik — jeżeli moją biedną matkę usuniesz, to w niedzielę ci zafunduję." Ale mój brat, który zresztą lubi pić, odpowiedział: „Co fundować?! Dla ciotki Maryanny uczynię to i tak." I położył ją gdzieś, w kąciku. Dzisiaj trzeba tylko grób zasypać ziemią i śniegiem.

August obtarł sobie oczy ręką i malował dalej.

— Weź to, Auguście!" — rzekłem, rzucając mu parę srebrnych monet, zawiniętych w papier.

— Dziękuję, dziękuję, kochany panie — zawołał ze lśniącem obliczem. Zamknąłem okno, zasiadłem przy biurku i napisałem nowem piórem: Księga pierwsza. Rozdział pierwszy.

Od tej chwili przeszły już trzy miesiące. August nie stuka już młotem, ale często słyszę go, jak wywodzi trele na dole, w swojej komórce. Dzieło moje nie jest jeszcze ukończonem. Duch mój długie godziny, jakby w osłupieniu, zatrzymuje się na jakiejś sentencyi, która więźnie na końcu mojego pióra i nie chce przelać się na papier.

Jaskółki powróciły i fiołki kwitną na nowo; w ogrodzie stoją drzewa brzoskwiniowe, obciążone owocem; wiosna stroi zielenią pola, cmentarze i ubogie, drewniane krzyże. A jednak jakiś wielki smutek, niby mgła listopadowa, obejmuje mą duszę: dla mnie nic się nie rodzi, nic nie umiera. Wszystko rozpościera się przede mną, jako masa, pozbawiona możności czucia i odczuwania; wszystko w swojej ogromnej wielkości kręci się wkrąg siebie, jak koło. Otwieram okno.

August gwiżdże i wraz z nim gwiżdże kos, który siedzi w klatce, wiszącej przed jego oknem. Skąd się u nich bierze ta wesołość?

Wczoraj zawezwałem lekarza i spytałem go:

— Czy czasem nie jestem chory, doktorze? Czuję tutaj coś... i wskazałem mu serce.

Doktór pomacał mi puls, przyłożył rękę do czoła, później ucho do serca.

— Co pan słyszysz, doktorze?

— Co słyszę? — jakieś „puk, puk," kochany panie!

Przeł. *L. B.*

ci — wprost odwrotnych skutków doczekać się mogą. W walce współzawodniczej, przy nierównych warunkach, niejeden drobny poborca „nadwartości bezwzględnej“ kozielką wywróci... Setka zaś rękodzielni i warsztatów rzemieślniczych, użytkujących dotychczas nieograniczenie z taniej siły roboczej kobiet i dzieci, i mających premium asekuracyjne w rozciągniętym po za granice słuszne dniu roboczym, upadkiem swoim lub powolnem zanikaniem — zostawi po sobie miejsce opróżnione. Choć przemysł wielki rynkowi zewnętrznemu nad wewnętrznym daje pierwszeństwo, nie omieszka przecież skrzydła opiekuńczego roztoczyć nad osieroconymi przez drobną produkcyę spożywcami krajowymi.

Mam tylko na myśli ogólną dążność, zastrzegając się co do szczegółów, o ile o nasz grunt ekonomiczny idzie w danych warunkach. Są u nas ludzie, co już dziś, wysiłkiem wyobraźni odtwarzając z okruchów i pewnych zabiegów obecnej doby szachownicę naszej przyszłości, ustawiają na niej figury i układają z nich kombinacye zbyt jednostronne, doznając zawrotu głowy wobec rozścielających się przed nimi widoków — sklepikarstwa i drobnych warsztatów. Podstawy wielkiego przemysłu naszego, podważone współzawodnictwem Wschodu i pobożnem życzeniem ich, drżą; Rauowie i Handtkowie ustępują z widowni rodzimej, uprowadzając wraz z sobą nieznośną „armię robotniczą“. Oczyszczone po nich pole ma zająć — kto? Chłop na wsi i rzemieślnik w mieście, a do pomocy im — szkoły zawodowe itp. rzeczy. Uznawszy więc całą donioslość we właściwych granicach proponowanych przez Tow. pop. przemysłu i handlu szkół fachowych, zwracamy uwagę na jeszcze jeden powyżej opisany — nowy czynnik.

Zyg. Piet.

LISTY WIEDEŃSKIE.

28 czerwca.

Jubileusz dziesięcioletniej działalności Juliana Dunajewskiego jako ministra skarbu.

Dnia 26 czerwca minęło lat dziesięć, odkąd Julian Dunajewski objął tekę ministra finansów. W starożytnym pałacu na Himmelpforttgasse, niegdyś zamieszkanym przez Eugeniusza Sabaudzkiego, gdzie obecnie mieści się ministeryum finansów, obchodzono dzień ten uroczyście. Jest to, bądź co bądź, fakt niezwykły, że minister skarbu utrzymać się zdołał w Austryi przez lat dziesięć i to właśnie w okresie, w którym konsumcya ministrów była większą, niż kiedykolwiek. Austrya niewielu miała ludzi ze zdolnościami pierwszorzędnemi na tem stanowisku, a mniej jeszcze szczęśliwych, dobijających się powodzenia. Dzielny Bruck odniósł klęskę po klęsce; za czasów jego skarb państwa bywał o tyle próżnym, że Austrya musiała zaciągać długi u pomniejszych bankierów wrocławskich. Brestel na lat parę podźwignął finanse, lecz stało się to kosztem spokojnego rozwoju ekonomicznego: rok 1873 przyniósł katastrofę i spowodował na nowo deficyt. Daremnie Depretis pasował się z tym dziedzicznym wrogiem Austryi. Dunajewski uporządkował finanse austryackie o tyle, że stworzył — choć pozornie — budżet państwa bez niedoboru, co kredyt Austryi znacznie podniosło. Skarb, pełniejszy, niż kiedykolwiek, umożliwia ministrowi od czasu do czasu większe kwoty gotówką oddawać na usługi ogólnego obiegu pieniężnego. Ocena działalności Dunajewskiego, jeżeli ma być sprawiedliwą, nie może wychodzić wyłącznie z punktu widzenia interesów galicyjskich. Galicya korzysta z działalności jego o tyle, o ile finanse monarchii się poprawiają; państwo nie może mu uczynić zarzutu, iżby protegował na niekorzyść innych krajów Galicyę; ona zaś twierdzić nie może, iżby o niej zapominał i nie uwzględniał jej interesów, o ile to bez ujmy dla państwa dziać się może. Jeżeli cyfry na wiarę zasługują, obraz działalności Dunajewskiego przedstawia się w sposób następujący: w r. 1880 wydatki wynosiły 423,451,018 złr., dochody 398,277,766 złr., zatem *niedobór* 25,173,252 złr. W r. 1890 budżet wykazuje wydatki w wysokości 546,303,035 złr., dochody — 548,820,006 złr., zatem *nadwyżkę* 2,516,971 złr. Oprócz zwykłego etatu pokrył Dunajewski ze zwiększonych dochodów następujące wydatki nadzwyczajne:

Budowy nowych kolei i uzupełnienie dawnych linij	złr.	130,281,000
Budowle monumentalne	„	9,624,000
Wydatki na uzbrojenia	„	41,297.000
Regulacya rzek	„	17,929,000
Budowa portu w Tryeście . . .	„	2,475,000
Akcye ratunkowe i wsparcia . . .	„	7.322,000
Spłata asygnat salinarnych . . .	„	30,600,000
Uśmierzenie powstań w Bośni i Dalmacyi	„	20,374,000
Razem	złr.	259,902,000

Przypomnieć sobie należy, że niemało z tych milionów przeszło do Galicyi na koleje, budowle szkolne, fortyfikacye, jako też na akcye ratunkowe.

Zadanie Dunajewskiego było tem trudniejsze, że kiedy powołano go na ministra skarbu, nie miał on żadnej prawie rutyny praktycznej w operacyach finansowych, żadnych nie posiadał stosunków w świecie finansowym i w żadnym nie był związku z biurokracyą finansową. Trudno odmówić mu wielkich zdolności: ceniony dawniej jako teoretyk i mówca, dokonał wiele, jako praktyk. Inna rzecz, jak system, zapomocą którego osiągnął on równowagę w budżecie państwa, odbija się na ekonomicznych stosunkach krajów austryackich. Podatki wyszrubowane do możliwych granic, upadek rolnictwa, zarówno większej, jak mniejszej własności, ciężkie stosunki przemysłowe i handlowe — oto ślady żelaznych kroków zwycięzkiego ministra. Lecz należy przyznać, że Dunajewski sam nie przeoczał tych skutków, wywołanych koniecznością i że uregulowawszy budżet państwa, nie uważa on jeszcze zadania swego za spełnione. Przygotowywa on dziś wielkie reformy, które mają na oku główne interesy poddanych. Zniesienie wiedeńskiej linii akcyzowej jest pierwszym krokiem na tej drodze, korzystnym dla ludności, niekorzystnym dla państwa. Projektowana reforma podatku konsumcyjnego również w tym duchu jest pomyślana. Co więcej, Dunajewski przygotowywa najtrudniejszą z reform na polu podatkowem—zmianę podatku dochodowego, mającą usunąć najbardziej rażące niesprawiedliwości w rozkładzie, a uwieńczyć chce działalność swą rozwiązaniem niemniej trudnego zagadnienia na polu finansów państwowych—unormowaniem waluty. Reformy te wyszły już z okresu rozważań teoretycznych. Wówczas dopiero, skoro w życie wstąpią, Dunajewskiego nazwać będzie można najdzielniejszym z austryackich ministrów skarbu.

Stwosz.

BADANIA NAUKOWE.

NEORITTERYANIZM W GEOGRAFII.

Tak więc ową niezdolność do stworzenia cywilizacyi wyższej, przypisywaną przez Letourneau'a jedynie potępionej rasie murzyńskiej, spotykamy też wśród znacznej części rasy białej i prawie śród całej żółtej. Zresztą wszystkie wielkie cywilizacye historyczne były produktem mieszaniny najróżnorodniejszych elementów etnicznych, gdzie określenie nawet przybliżone udziału białych, żółtych i czarnych jest niezmiernie trudne. Tak np. cywilizacya egipska, zdaje się najstarsza i najbardziej odosobniona ze wszystkich, była jednak wytworem czterech grup etnicznych, różniących się między sobą barwą skóry i innemi cechami antropologicznemi. Śród tych czterech poznajemy trzy grupy Letourneau'a: człowiek *biały Tamahu* (nazwa, którą nosi dotąd ludność afrykańska, podobna do europejskiej a zwana przez arabów tuaregami); człowiek *żółty Amu*, z rysami semickiemi, mniej lub więcej zmieszany z elementem turańskim; człowiek *czarny Nahasiu*, z włosami kręcemi. Grupa czwarta, która nie znajduje miejsca w klasyfikacyi Letourneau'a, która jednak grała, zdaje się, rolę główną w państwie faraonów, jest to lud *Rot* albo *Retu*, synonim hieroglificzny biblijnego *Lud* (l. mn, *Ludim*) z cerą *czerwoną*, bezwątpienia identyczny z tą ludnością barwy ceglastej lub brunatnej, która od czasów przedhistorycznych osiadła na obu wybrzeżach morza Czerwonego, w Palestynie i Syryi; resztki tej ludności znajdują się jeszcze w okolicach przylądka Guardafui, nad górnym Nilem i na południowem wybrzeżu Arabii. Cywilizacya egipska była więc cywilizacyą metysów z krwią murzyńską, a jednak aryowie europejscy nie byliby się stali tem, czem są dzisiaj, gdyby za pośrednictwem fenicyan i helenów nie byli otrzymali spuścizny po cywilizacyi egipskiej.

Przejdźmy teraz do drugiej potężnej cywilizacyi, która może się współubiegać z cywilizacyą doliny nilowej, mianowicie do cywilizacyi mezopotamskiej. Spotykamy tutaj na progu historyi toż samo pomięszanie się krwi, ras, co i w dolinie nilowej. Na długo przed pojawieniem się elementu aryjskiego, inne elementa, turańskie i semickie współpracowały na polu tej cywilizacyi, ale i te miały poprzedników z cerą ciemniejszą nawet niż u wielu murzynów. Byli to kuszitowie. Otóż według wielu uczonych (Maspero, Lenormant), tym czarnym należy się zaszczyt otworzenia drogi cywilizacyi, po której mieli kroczyć ich następcy.

Przestąpmy dalej nieprzebytą prawie zaporę Solimanu i przenieśmy się na wschód, do tej krainy, gdzie najszlachetniejsza gałąź rasy uprzywilijowanej, aryowie, odbyła swój pierwszy występ na arenie historyi. W czasie swego przybycia do dzisiejszego Pendżabu aryohindowie znaleźli tam już cywilizacyę wyższą od ich własnej (Burnouf), a stworzoną przez pierwotnych tamtejszych mieszkańców drawidzkich, o cerze czarnej, to jest przez gałąź tych samych kuszitów, których już spotkaliśmy w Egipcie i Mezopotamii i którzy od murzynów różnili się tylko mniej wełnistemi włosami.

Zresztą typ murzyński nie jest bynajmniej ściśle określony: ci co poznali zblizka ludność Afryki (Livingston, Stanley, Bastian, Hartmann, Fritsch itd.), zgadzają się na to, że niepodobieństwem jest przeprowadzić ścisłej granicy między murzynami i niemurzynami.

Jeżelibyśmy, mimo to wszystko, co było wyżej powiedziane, przypuścili, że różne rasy posiadają przez dziedziczność specyalne zdolności do odegrania pewnych ról w historyi, to jakbyśmy odpowiedzieli na następujące pytania:

1-o. Dlaczego grupy etniczne tak blizko spokrewnione, jak kurdowie i niemcy, afganie i anglicy itd. grały w dziejach ludzkości role tak dalece różne?

2-o. Dlaczego w różnych peryodach historycznych hierarchia ras ulegała przemieszczeniom, przechodziła z jednej rasy na drugą? W czasach np. gdy kuszitowie zapalili w Mezopotamii i Indostanie pochodnię cywilizacyi, która w ciągu wieków, przechodząc z rąk do rąk, dostała się nam, socyolodzy-etnografowie owej epoki mogliby z zupełnem prawem patrzyć z góry na ludy z jaśniejszą barwą skóry i zaliczyć je do „potępionych.“ I rzeczywiście w podobny sposób, według Herodota, zapatrywali się kapłani egipscy na helenów, którzy, mimo swej jasnej skóry, byli prawie jeszcze tro-

glodytami wtedy, gdy negroidzi doliny nilowej już od trzydziestu lub czterdziestu wieków cieszyli się wysoką cywilizacyą.

3-o. Dlaczego losy historyczne pewnej grupy ludności zmieniały się tak często, podczas gdy jej charakter etniczny i antropologiczny nie ulegał zmianie? Fellahowie dzisiejszego Egiptu np. tak podobni do swych przodków z czasu faraonów, nie mają jednak żadnego wpływu na historyę. Powiedzą nam, że to degeneracya? Ależ termin konwencyonalny nie wyjaśni zjawiska historyi.

Więc rasy nie są to pierwotne i niezmienne dane historyi; są to raczej produkty przystosowania się do różnych środków geograficznych i socyalnych. Znane są modyfikacye, jakim uległi anglo-saksowie i murzyni w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Śród holendrów Transvaalu zdarzają się wypadki tej steatopygii, która bywa uważana, jako cecha charakterystyczna rasy hotentockiej, a przecież nienawiść i pogarda, jaką boerowie żywią dla tej rasy, nie pozwalają przypuszczać tutaj objawu skrzyżowania.

Ciekawe badania, prowadzone przez wiele lat w więzieniach Medyolanu i Turynu przez Lombrosa, odkryły istnienie w wielkich miastach Lombardyi i Piemontu pewnej odmiany ludzi, która przez swe cechy antropologiczne odstępuje znacznie od typu normalnego ludności Włoch północnych. Zbliża się ona raczej do „rasy żółtej“ przez swą barwę skóry, przez włosy proste, twarde i czarne itd. Typ ten Lombroso nazywa *człowiekiem kryminalnym* i dla wyjaśnienia istnienia tego typu barbarzyńskiego śród najbogatszych miast dzisiejszej Italii, ucieka się do hypotezy najmniej prawdopodobnej, mianowicie, żeludzie ci są szczątkami jakiejś tajemniczej ludności pierwotnej, której cechy wskutek atawizmu zachowały się aż do naszych czasów, pomimo różnych kolei, krzyżowań i migracyi. Tymczasem już sam ten fakt, że reprezentanci tego typu są daleko liczniejsi w wielkich miastach, niż w odosobnionych wioskach, wystarcza do obalenia atawistycznej teoryi Lombrosa. Liczni pisarze, a szczególniej Alfred Wallace, dowodzą, że otoczenie, do którego ludzie zmuszeni są przystosować się w wielkich miastach Europy, jest daleko mniej korzystne dla rozwoju antropologicznego, aniżeli warunki życia na archipelagu Malajskim i w innych krajach barbarzyńskich. Człowiek kryminalny Lombrosa przedstawia nam więc jedynie przykład rasy zdegenerowanej, wytworzonej przez środek degenerujący; a ponieważ rozwój pauperyzmu w miastach Lombardyi i Piemontu nie sięga zbyt odległej daty, więc nie potrzeba akumulacyjnego działania aż całych peryodów geologicznych na to, ażeby w organizacyi fizycznej człowieka wywołać znaczne zmiany, doniosłe pod względem historycznym i socyologicznym.

Ta rasa „potępiona,“ produkt endemiczny nędzy naszych wielkich miast, nie ogranicza się niestety do Włoch: znajduje się ona wszędzie, gdzie znajduje się otoczenie, sprzyjające jej rozwojowi. Badacze tej rasy kryminalnej, zauważywszy, że występek, wypaczenie zmysłu moralności i degeneracya typu w pewnych rodzinach przechodzi z pokolenia na pokolenie, przypisują przyczynę tych zjawisk nie niekorzystnym warunkom otoczenia, lecz samej dziedziczności. Dla nas — mówi Miecznikow — dziedziczność jest tu czynnikiem drugorzędnym: utwierdza on tylko cechy nabyte pod wpływem niekorzystnym otoczenia. Zwolennicy dziedziczności kierują się metodą niezbyt naukową: za każdym razem, gdy dostrzegą przenoszenie się cech z ojca na syna przez kilka generacyi, przypisują to dziedziczności, a jednak zdarza się często, że syn postawiony w warunkach tych samych, w jakich żył ojciec, mógł nabyć tych samych cech pod bezpośrednim wpływem otoczenia. Syn uczonego poświęca się zawodowi naukowemu, syn jego furmana pozostaje furmanem, syn złodzieja złodziejem. Być *może*, iż każdy z nich otrzymał w spadku po rodzicach pewne zdolności specyalne, ale przez swe urodzenie każdy znalazł się również w warunkach otoczenia, określających bieg jego życia.

Jako nowy przykład rasy czyli typu antropologicznego, wytworzonego przez wpływ otoczenia, a utrzymanego przez dziedziczność, wymienimy kretynizm. Typ ten występuje, jak wiadomo, endemicznie w niektórych dolinach górskich w Sabaudyi i Szwajcaryi, jak również na Kaukazie, w Andach Kolumbii i w górach chińskiego Szeczuenu. Tutaj znajdujemy się wobec faktu krańcowego, w którym antropoplastyczny wpływ środka staje się dotykalnym. Możnaby tutaj wspomnieć również *typy profesyonalne*, to jest cechy, jakie pozostawia na człowieku długie zajmowanie się pewnym fachem. Podczas gdy cechy, po których antropolog rozpoznaje rasy, są niezdecydowane i omylne, to obserwator uważny potrafi we wszystkich krajach rozróżnić ludzi oddających się różnym fachom: kowali, rolników, rybaków i marynarzy, żołnierzy, księży, uczonych itd. Jeżeli więc ćwiczenie w pewnym kierunku może wytworzyć w indywiduach zupełnie różnego pochodzenia cechy wspólne, bardziej rzucające się w oczy niż cechy rasowe, to tembardziej mogą to uczynić te wpływy ściślę, nieustanne i skomplikowane, które obejmujemy mianem środka lub otoczenia. Dziedziczność jest ważnym czynnikiem, lecz nie jest on w stanie uwolnić rasy od decydującego wpływu otoczenia.

Nic można jednak zaprzeczyć, że *wpływ otoczenia w ciągu dziejów ulega zmianom;* te same okolice w różnych czasach grały różne role historyczne. Europa, przodująca obecnie w cywilizacyi, była pogrążona w barbarzyństwie wtedy, gdy cywilizacya przyświecała żywym blaskiem w innych okolicach globu dziś opustoszonych. Ileż to miast Egiptu i Azyi zapisało na wieczne czasy swe imiona na kartach historyi, a dziś nie pozostało po nich ani śladu lub tylko ruiny, zasypane piaskiem pustyni; koczownik depce po nich, nie więcej świadomy ich upadłej wielkości, jak stada pasące się pod jego strażą.

Czasem te zmiany historyczne bywają po części wynikiem geologicznych lub klimatologicznych *zmian otoczenia*. Podobnie jak losy historyczne narodów, tak i rozmaite okolice naszej planety nie pozostają bez zmiany w pochodzie wieków. Tak np. z dawnej zatoki Latmickiej pozostało tylko nieznaczne jezioro, niemające połączenia z morzem i otoczone bagnami, których wyziewy zarażają powietrze; reszta zatoki została wypełniona osadami rzeki Meander. Starożytny Milet, który tej zatoce zawdzięczał swe wielkie znaczenie, owa sławna stolica federacyi jońskiej, stała się obecnie nędzną wioszczyną (Palatia). Jednakże mieszkańcy Miletu mogliby się jeszcze byli bronić przeciw zamuleniu zatoki, gdyby nie to, że „puls historyi“ przestał bić w tych okolicach. Podobnież zmiany klimatyczne, np. osuszenie krain śródziemnomorskich i Azyi centralnej mogą po części wpływać na losy historyczne, po części jednak są ich wynikiem (np. wskutek wyniszczenia lasów, zapuszczenia kanałów itp.).

W każdym razie zmiany, jakim podlega otoczenie, zmiany klimatu i gruntu są w porównaniu bystremi zmianami historyi nadzwyczaj powolne. „Dzisiaj, jakza czasów Pliniusza — mówi Edgar Quinet — hiacynt rośnie w Galii, barwinek w Iliryi, stokrotka na ruinach Numancyi i podczas gdy dokoła miasta zmieniły swych władców i swe nazwy, a nawet przepadły w nicości, podczas gdy cywilizacye zostały podruzgotane i starte, te ciche kwiatki przetrwały wieki i przez liczne generacye doszły aż do naszych dni zawsze jednako świeże i powabne.“

Otoczenie więc, *niezależnie od jego zmian*, wywiera w różnych czasach różny wpływ na objawy dziejowe. „Wiadomo — mówi Reclus — jak potężnym był korzystny wpływ otoczenia na rozwój ludów europejskich. Ludy te zawdzięczają swą wyższość nie cechom swej rasy, jakby ktoś dumnie mógł przypuszczać, gdyż w innych okolicach ziemi rasa ta okazała się mniej twórczą. Raczej szczęśliwe warunki gruntu, klimatu, konturu i położenia Europy przyniosły jej mieszkańcom zaszczyt poznania całej ziemi i zdobycia palmy pierwszeństwa pośród całej ludzkości... W każdym razie nie należy zapominać, że kontury lądów i mórz i wszelkie warunki geograficzne mają w dziejach ludzkości wartość zmienną odpowiednio do stanu kultury, na jakim stanęły ulegające ich wpływom narody. Tak np. góry, które pierwotnie przebiegali tylko pasterze lub myśliwi i które stawiały tamę stosunkom międzynarodowym, mogą w epoce wyższej cywilizacyi ściągnąć górników i przemysłowców i dzięki drogom przez nie przeprowadzonym przestać być zaporą dla komunikacyi. Mała przystań morska, gdzie się zatrzymywały wątłe statki naszych przodków, leży dziś opuszczona, podczas gdy wielka zatoka, unikana dawniej, obecnie zaś zabezpieczona od falowania groblą, stała się schronieniem wielkich okrętów. Te zmiany wartości historycznej warunków geograficznych trzeba dobrze zachować w pamięci. Badając przestrzeń, należy wziąć w rachunek drugi ważny element — czas.“

Biorąc to w rachubę, Miecznikow stawia sobie pytanie, czy nie da się, mimo tej zmienności, wynaleźć jakiegoś uogólnienia, jakiejś formuły syntetycznej, wyrażającej związek pewnego środka geograficznego z każdą fazą dziejowego rozwoju. Formułę tę znajduje Miecznikow w znanym już dawniej geograficznym podziale historyi ludzkości na trzy fazy: *rzeczną, śródziemnomorską* i *oceaniczną*. Pierwsza rozwija się w zależności od wielkich rzek, mianowicie Nilu i wielkich bliźnich rzek Azyi; druga, w zależności od rozczłonkowanych wybrzeży morza Śródziemnego, wdzierającego się głęboko między trzy części starego świata; trzecia, w zależności od oceanu, obejmuje coraz bardziej całą ziemię; z doby początkowej *atlantyckiej* przechodzi coraz bardziej w *pacyficzną* (rozwój Australii, Kalifornii, otwarcie Japonii, Chin, postępy Rosyi nad Amurem), a nawet we *wszechoceaniczną*, bo ocean Indyjski ożywił się już dawniej, dzięki kanałowi Suezkiemu, a oceany polarne także z czasem zostaną bezwątpienia wciągnięte w coraz rosnący wir cywilizacyi.

Zgodnie z wyżej wymienionym tytułem książki, autor zajmuje się pierwszą z trzech powyższych faz—wpływem wielkich rzek (Nil, Eufrat i Tygrys, Indus, Ganges, Hoangho i Jengtsekjang) na rozwój dziejowy. Traktowane tutaj przez Miecznikowa kwestye są wogóle znane geografom, ale rozwija on je i uzasadnia bardziej szczegółowo, niż to przed nim czyniono. Słusznie np. uważa on, że cywilizacye powstały nad rzekami—nie jako nad takiemi, nie jako nad arteryami komunikacyjnemi, lecz dlatego, że wielkie prace regulacyjne nakazywały solidarność — „solidarność lub śmierć!“ W Ameryce cywilizacya powstała nie nad wielkiemi rzekami, ale w każdym razie tam, gdzie warunki przyrody stawiały człowiekowi to samo wymaganie: wybrzeża jezior o zmiennym poziomie wód śród suchych wyżyn mogły stać się siedliskiem kultury tylko przez solidarną pracę nadbrzeżnych mieszkańców. Wiadomo, że tu i tam, jako podstawa tej solidarności, rozwinął się despotyzm: wszędzie pojęcie władzy, rządu wiąże się z pojęciem wody i jej regulacyi.

Kończąc nasz referat o książce Miecznikowa, nadmienimy jeszcze, że tu i owdzie napotkać w niej można właściwe uczo-

nym francuskim usterki na punkcie geografii fizycznej. Tak np., pomimo badań Hanna, Miecznikow (wraz z Reclusem) wyprowadza Föhn z Sahary, a pomimo badań Zittla, wierzy w istnienie dyluwialnego morza saharskiego i tem objaśnia epokę lodową (brak Föhnu) itp. Błędy te jednak nie naruszają w niczem głównej idei Miecznikowa, a książka jego czyta się tem przyjemniej, że dźwięczy w niej wszędzie szlachetna nuta ogólnie ludzka, jak to zresztą należało się spodziewać po autorze, „którego życie było poświęcone obronie słabych i uciśnionych.“

W. Nałkowski.

OSTATNIE POSTĘPY

ANTROPOLOGII KRYMINALNEJ.

Przeglądając prace, napisane z powodu badań antropologicznych nad zbrodniarzem, między innemi zdaniami można spotkać też jedno, że cała antropologia kryminalna jest tylko chwilowem nieporozumieniem; co więcej, nie braknie nawet proroków, przepowiadających, że wszystkie wysnute w tej mierze teorye okażą się niebawem najzwyklejszą bańką mydlaną. Nie będziemy przesądzali przyszłości, lecz jeśli mowa o dniu dzisiejszym, musimy zauważyć, że gromadzenie odnośnego materyału antropologicznego posuwa się niezwykle szybkim krokiem, oraz że stawiane na jego podstawie żądania reformy prawnej znajdują coraz liczniejszy a gorliwszy zastęp rzeczników. Właśnie mamy obecnie pod ręką nieznaczną pracę Cezara Lombroso, w której autor zdaje sprawę z postępów antropologii kryminalnej za ostatnie dwa lata *). Zauważył on, że wobec szerokiego rozrostu odpowiednich poszukiwań i rozrzucenia ich po mnóstwie czasopism specyalnych, trudność uprzytomnienia sobie rozwoju tego ruchu wzrasta niepomiernie; wydane dziełko ma zatem na celu usunięcie tej niedogodności przez zwięzłe zestawienie i streszczenie poszczególnych prac i badań. Zresztą uczony włoski przekroczył w znacznym stopniu zakreślone granice i w książce swojej dał nietylko krótkie przedstawienie ostatnich postępów antropologii kryminalnej, lecz także streścił całokształt swojej teoryi, rozpatrując wzajemny stosunek różnych postaci zbrodniczych: przestępcy urodzonego, przypadkowego, wreszcie politycznego, tak, iż mamy tutaj przewyborny a krótki przegląd zasadniczych uogólnień i zdobytych w tej dziedzinie poszukiwań. Tę dodatnią stronę książki jedynie zaznaczamy wobec tego, że czytelnikowi *Prawdy* są znane wszystkie te wyniki ostateczne; wyjątek stanowi teorya przestępstwa politycznego, lecz o niej wkrótce pomówimy obszerniej, korzystając z ukazania się w języku włoskim nowej a obszernej pracy Lombrosa i Laschi o tym przedmiocie. Podobnie odłożymy na później, mianowicie do chwili wyjścia *Zbrodniarza urodzonego* w przekładzie polskim, zarzuty poważniejsze, stawiane badaczowi włoskiemu, z których, lubo często nader niezręcznie, usiłuje on oczyścić się w nowej swej pracy. Wspomnimy tylko, że są one nader doniosłej natury i nietyle skierowane przeciw samej antropologii kryminalnej, wraz z jej zastosowaniami praktycznemi, ile przeciw wyjaśnieniom i hipotezom osobistym jednego z jej ojców.

Przechodzimy jednakże do zdania sprawy z dokonanych postępów.

Należy wciąż uważać Włochy za główną siedzibę poszukiwań antropologicznych nad zbrodniarzem. Badania te stają się coraz drobiazgowszemi i obejmują bezustannie nowe dziedziny. Z świeżych nazwisk wypada przedewszystkiem wymienić doktorów Frigerio i Ottolenghi, wreszcie profesora Gradenigo. Pierwszy przeprowadził liczne studya nad ukształtowaniem ucha, ostatni zaś pogłębił w dalszym ciągu te badania, które u niego objęły przeszło 300 obłąkańców i jeszcze większą liczbę przestępców, pewną ilość kretynów i wreszcie do 25 tysięcy turyńczyków, dorywczo oglądanych. Ottolenghi w podobny sposób odbywał badania nad kształtami nosa, rozwojem smaku, składem moczu u zbrodniarzy. Między innemi czynił on poszukiwania nad obfitością i chwilą nastania zmarszczek u zbrodniarza w porównaniu z człowiekiem zwykłym. Okazało się ze studyów nad przeszło 400 osobami, że przed rokiem dwudziestym piątym zaledwie 7% wśród „uczciwych“ ludzi posiada zmarszczki na czole, tymczasem u zbrodniarzy liczba ta podnosi się aż do 34% itd. Lecz przedewszystkiem zasługują na uwagę badania Marra. Podczas gdy wyżej wymienione obracają się około jakiejś jednej cechy szczególnej, Marro zajął daleko szersze stanowisko, mianowicie jął się udowodnienia, że zamiast jednolitego, istnieje kilka odmiennych typów zbrodniczych, posiadających właściwe sobie cechy fizyczne i duchowe i uprawiających każdy odrębne rzemiosło przestępcze. Weźmy chociażby częstość newropatyzmu wśród różnych tych kategoryj, a znajdziemy u podpalaczów aż 85%, zabójców 45%, włóczęgów 38%, złodziei 36%, gwałcicieli 33%, rabusiów przydrożnych 23%. Albo też zatrzymajmy się nad namiętnością szulerską: wśród gwałcicieli podlega jej 66%, złodziei 63%, włóczęgów 59%, zabójców 37%, podpalaczy 14%. Niewątpliwie zebranie podobnego materyału statystycznego rzuca nader wyraziste światło na duchową i fizyologiczną naturę poszczególnych odłamów zbrodniczych. Rzecz ciekawa np., że według poszukiwań Marra włóczęgowie odznaczali się mnóstwem wadliwości, sprowadzających za sobą niezdolność do natężonego a systematycznego wyładowania energii życiowej w jakimkolwiek kierunku; nawet brak im właściwości anatomicznych, takich, jak potężnie rozwinięta szczęka lub łuk nadoczny, idących zwykle w parze z przedsiębiorczym i silnym charakterem. Do tego dodać należałoby jakąś niemoc umysłową i częstość epilepsyi. Podpalacze znowu są zwykle obłąkańcami i podobnie obłąkanych posiadają rodziców. U zabójców przeważa rozwój tylnej części czaszki; dolna szczęka odznacza się potężnymi rozmiarami, kości policzkowe — rozwojem; broda bywa rzadka, wole na gardle częste, ramiona długie. Gwałciciele są niewielkiego wzrostu, lecz znacznej wagi, z krótkiemi ramionami, wązkiem czołem, częstą nienormalnością nosa i organów płciowych, wreszcie niewielkiej inteligencyi. Różne kategorye rabusiów i złodziei odznaczają się pociągiem ku tatuowaniu, pochodzeniem od alkoholików i newropatyków, odruchowością. Z poszukiwań Marra okazuje się, iż u kobiet wpływy społeczne występują silniej, niż u mężczyzn, u których znowu przeważa podkład antropologiczny.

Nie wyliczamy innych badań specyalnych nad zbrodniarzem. Zauważymy tylko właściwość jedną, coraz wybitniej występującą ze wszystkich nad nim prac, mianowicie jakąś wprost dziwną nieczułość na ból, a jednocześnie szczególną nadwrażliwość na zmiany barometryczne. Z rozpraw źródłowych o duchowości zbrodniarzy warto zaznaczyć pracę Gauthiera, który posadzony do więzienia na lat kilka, zużył swój czas na prowadzenie odpowiednich studyów.

Natomiast zatrzymamy się nad obfitością wciąż wzrastającą badań w zakresie antropologii kryminalnej. Dzisiaj posiada ona już trzy specyalnie sobie poświęcone czasopisma w samych Włoszech; inne wychodzą w Hiszpanii, Francyi, Rosyi. Nadto liczne wydawnictwa naukowe stale zajmują się tym przedmiotem. W Buenos-Ayres nawet zawiązało się szczególne towarzystwo w celu prowadzenia odnośnych badań; założyło ono odpowiednie muzeum kryminalno-antropologiczne i wydaje stały buletyn swych czynności. W Paryżu podczas wystawy odbył się już drugi międzynarodowy zjazd antropologów-kryminalistów. Wszystko to świadczy o rozroście nieustającym tej nauki. Lecz ten rozwój faktów znajduje się w nader ścisłym związku z różnemi zagadnieniami praktyczno-społecznemi w dziedzinie prawodawstwa kryminalnego i z koniecności pociąga za sobą coraz liczniejsze żądania reformy. Najważniejszym krokiem w tym kierunku jest zorganizowanie Związku międzynarodowego dla reformy prawa karnego. W odezwie wstępnej, pod którą podpisało się przeszło 300 najzwyklejszych przedstawicieli prawodawstwa kryminalnego z różnych krajów Europy, czytamy jakby streszczenie wymagań antropologii zbrodniczej. Odezwa ta głosi, że pierwszą koniecznością w celu zapoznania się ze zbrodnictwem jest zbadanie samego przestępcy; że dzisiejsze środki zapobiegawcze są tak samo mało skuteczne, jak i stosowane kary; że zamiast krótkiego uwięzienia należy wprowadzić inne środki; że należy wyróżnić występki z przyzwyczajenia od przypadkowych. W sierpniu roku zeszłego związek odbył pierwszy swój zjazd w Anvers i obradował nad niezbędnością reformy karnej, zgodnie ze wskazówkami antropologii i socyologii. Uderzono tutaj silnie między innemi na kary więzienne i zamiast więzienia rozpatrywano inne, jak: wypłata odpowiedniej sumy, prace publiczne na świeżem powietrzu z noclegiem prywatnym, areszt domowy — naturalnie w razie szczególnych występków. Podobne kwestye podniesiono na nieco wcześniejszym zjeździe prawników portugalskich w Lizbonie (w kwietniu 1889 r.). Tutaj podobnie jasno postawiono konieczność dokonania zmian w kodeksie karnym, zgodnie ze wskazówkami wiedzy antropologicznej, co więcej, zgodzono się na to niemal jednogłośnie. Po za tymi donioslymi dowodami oddziaływania praktyczno-społecznego poszukiwań nad naturą zbrodniarza, Lombroso przytacza mnóstwo drobniejszych — np. podawanie przez uniwersytety tematów do nagrody w rodzaju heidelberskiego: zastosowanie prawne wynikające z danych antropologicznych o naturze zbrodniarza.

Słowem, antropologia kryminalna czyni wyłom coraz znaczniejszy w dotychczasowej metafizyce kryminalnej i opartem na niej postępowaniu karnem. Lecz swoją drogą wszystkie te usiłowania, teoretyczne i praktyczne, bezwarunkowo postępowe wobec dawnych systemów, noszą na sobie szczególne znamię — mieszczańskiego porządku rzeczy. Myśl krytyczna, która z taką śmiałością występuje przeciw dawnym rupieciom metafizycznym, nie może w żaden sposób przebić muru przesądów i skutków indywidualizmu ekonomicznego i wyswobodziwszy się z jednych błędów, pokornie przyjmuje inne, jako wieczne i nieuchronne.

K.

*) *L'Anthropologie criminelle et les récents progrès.* Paryż.

LITERATURA I SZTUKA.

PRE-RAFAELIŚCI.

Miss Mare Robinson.

Pre-rafaeliści wskrzesili romantyzm: macie tu i resztki „Weltschmerz'u“ i idealizacyę średnich wieków i religijne zachwyty i chorobliwe spaczenie miłości. Jeżeli wszakże czysty romantyzm był tworem młodego mieszczaństwa, zwycięzkiego wykonawcy pierwszorzędnej roli historycznej, to prerafaelityzm angielski— zarówno jak i francuski dekadentyzm — jest pieśnią blaknącej zgrzybiałej i obumierającej klasy mieszczań-

skiej, która wykonała cały obieg swego rozwoju i obecnie chyli się do upadku.

Proszę zauważyć, iż najważniejsza cecha pierwotnej romantyki, nadmierny rozwój indywidualizmu, który targa wszelkie pęta i niszczy wszelkie powagi, u współczesnych bardów mieszczaństwa zaniknął. Na początku naszego stulecia duch ludzki rozkuwał swe kajdany w sztuce, zarówno jak i w polityce—romantyzm był wówczas kierunkiem postępowym. Obecnie zamienił się on w bezsilne kwilenie i szlochanie; jego zaś pesymizm jest dość płytki i zupełnie chorobliwy. Jeżeli z romantyki wyrzucić hypertrofię ludzkiego „ja,“ która była najcharakterystyczniejszą cechą tego kierunku, to cóż zeń pozostanie? Nic. Gotyckie łuki w naszych czasach są śmieszne; Nôtre Dame de Paris czyni wrażenie pasztetu w wystawie rzeźnickiej, a jeżeli ktoś widok tych wieżyczek i łuków w zachwyt wprawia, to winszujemy, iż tak dobrze zamarynował sobie ducha. Co się tyczy rycerskiej galanteryi, „okrągłego stołu“ (round table) hr. Alfreda, turniejów itp. rupieci, to wysiłki największych talentów dla wskrzeszenia ich czynią wrażenie, jakby ktoś odważał w duszy naszej stare, zardzewiałe drzwiczki: po za niemi na chwilę ukazuje się wypłowiałe widmo— jak spalona, pstra szyba — i znika. Pozostaje jeszcze miłość platoniczna, a raczej mistyczna i chorobliwa. Jeżeli Morris, Rossetti, Swinburne, Tennyson są piewcami romantycznej średniowieczczyzny, to miss Mary Robinson, Sapho szkoły pre-rafaelistycznej opiewa taką właśnie miłość. U dekadentów francuskich kobieta nie jest zawsze „vase taciturne“ (Baudelaire); miłosne ich zapały musi często poskramiać policya obyczajów (police des moeurs); u romantyków angielskich jest ona także skrzywioną i nienaturalną, ale pozostała bardziej idealną.

Lecz oto jej przebieg, jak ją p. Robinson z własnego doświadczenia przedstawia. W dwudziestym roku życia autorka poczuła, iż to, co jej dotąd wystarczało, naraz przestało wystarczać. Zajęcia, nawet tak przyjemne, jak muzyka i poezya, zobojętniały; nie mogła doczytać książki lub dokończyć robótki; przywiązanie rodzinne przestało wypełniać jej serce, zjawiła się w niem luka. Instynkt podszeptywał, w jaki sposób można ją zapełnić. To też nic dziwnego, że, gdy młoda dziewczyna klękała do modlitwy, to niechcący z ust wyrywały się takie prośby: „Panie, natchnij mnie miłością! Udziel mi błogosławieństwa milczącego dusz uściśnienia; harmonii oczu i rąk, które się łączą; dreszczu i ekstazy pocałunku, uświęcającego miłość!“ Pożądana nie zjawiała się wszakże — strach mroził serce: a nuż przejdzie i nie wstąpi! „Nagie i bezmyślne“ życie ciężyć zaczęło. Psotnik Amor długo kazał czekać na siebie — nareszcie się zjawił i rozgościł w gorącem sercu, lecz na krótko. W opisach swego chwilowego szczęścia autorka jest nader powściągliwą — może ją przestrasza trywialność wypadków tej historyi, „jak świat starej, awiecznie nowej“ —dość, że, uchylając rąbek swych wspomnień, daje ona nam co najwyżej następujące obrazki. Pewnego razu *on* ofiarował jej gałązkę oliwną, by się ochłodziła w skwar gorąca: „Dałeś mi ją bez słów i ukłonów i było to po raz pierwszy, gdym cię nazwała *my love* (mą miłością).“ Dotąd wszystko w porządku: kocha go tkliwie i szczerze. „Błąkałeś się wśród samotnej pustyni — mówi doń — ja ci dałam mą duszę, byś pił z niej, jak ze źródła.“ Chorobliwa wszakże nutka, dobrze znana u romantyków, przebija się już w tym okresie szczęścia. „Kochaj mnie dziś — woła namiętnie — i zapomnij o jutrze; chodź, weź mnie za dłoń i wyjdźmy w pola; zapomnijmy o wszystkich naszych smutkach, by mówić o morzach, po których bujać będziemy i o różach z Bengalu krwawych i złotych, z których wić będziesz wianki, gdy umrę.“ Ale wkrótce romans się urwał. Autorka nie wtajemnicza nas w przyczyny nieszczęśliwego końca chorobliwej sielanki z „milczącym pielgrzymem.“ Może milczący, obliczał i znalazł, że posag sentymentalnej panny jest za mały na nasze drogie czasy, a może też nie dorósł do stanowiska i nie potrafił prowadzić konwersacyi o wiankach, splatanych z róż krwawych i złotych? Po czyjej stronie wina, nie wiadomo, ale dość, że miss Robinson „pozostała samotna na skale i śpiewa sama, sama, sama,“ a nawet „przyczepiła do łona girlandę cyprysu, by zabić swe serce.“ Bez żartów, jeżeli autorka w ósmym lat dziesiątku naszego stulecia pozostała tak sentymentalną, to nic dziwnego, iż „milczący pielgrzym“ — pójdę o zakład — uciekł! Bo gdzież to słychane rzeczy, by uważać miłość za „serca pęknięcie i rąk umierających łamanie?“ Szkoda wielka, iż miłość autorki nie jest „dzieckiem spokojnem o dobrem sercu, które wyciąga swe wargi do pocałunków kasesujących,“ lecz „duchem, który się trawi sam w sobie, cierpi i obraca nawet marzenia w rozpacz“ (The New Arcadia. Love among the saints).

Miłość „demoniczna“ wyszła z mody „elle a fait son temps,“ jak mówią francuzi, a zresztą trudno w tej dziedzinie ustanowić jakiekolwiek przepisy: „rozkazać snadno!“ — mogłaby nam z ironią odpowiedzieć miss Robinson. Niechaj więc każdy kocha na swój sposób, ale nie wolno zapominać, iż nawet „wydęta poezyi tchnieniem“ i wzniesiona na fantazyi skrzydłach, ma miłość za podstawę przyrodzony popęd, a głównie, jest uczuciem egoistycznem, któremu w życiu odpowiednie tylko miejsce przeznaczyć można. Charakterystyczną jest rzeczą, że romantycy z pierwszej połowy naszego stulecia oś życia przesuwali często w różnym od miłości kierunku. Tak np. Gustaw nie utonął w swej czarnej rozpaczy, lecz odrodził się, jako działacz społeczny. Inaczej postępują romantycy współcześni. Miss Robinson pogrążyła się w żałobę bezgraniczną: smutek beznadziejny przepełnił jej serce i oto już od lat kilkunastu wpadła ona w melancholię, która niema sił przeklinać, lecz skarży się tylko głosem znużonym. Jest olbrzymia różnica pomiędzy pesymizmem romantyków, a pesymizmem pre-rafaelistów lub dekadentów. Tamte ciemności są przepowiednią świtu—tam promień już się prześwieca. Tu panuje noc beznadziejna. Pesymizm jest często wylewem dusz, skazanych na bezczynność: takim był on u romantyków za czasów Restauracyi, krzykiem zbuntowanych duchów. U współczesnych epigonów romantyzmu jest on newrozą, chorobą ducha, a głównie — woli. Pesymizm Byrona jest orzeźwiający, jest pobudką do walki; pesymizm pre-rafaelistów jest snem bezmyślnym.

Dusza wrażliwa, gniecona przez warunki, często sarka i przeklina życie i ludzkość, ale, przeklinając, kocha zarazem. Taki pesymizm ma zwykle obszerniejsze, społeczne przyczyny za podstawę. U pre-rafaelistów i dekadentów, wogóle u wszelkich przedstawicieli obumierającego mieszczaństwa, jest on tylko bankructwem osobistem, w swoim rodzaju anemią moralną, na którą ogólniejsze warunki bardzo tylko nieznaczny wpływ wywierają. Z konieczności wszystko, nawet marzenia, w rozpacz się zamieniać muszą. Niema tu ani energii rokoszu, ani chęci czynu. „Pośród ruin niedokończonego dzieła siadam i zapytuję: *Po co?*“ — mówi miss Robinson.

Tylko zrzadka autorka przestawała grzebać się w ranach swych zewnętrznych i odrywała wzrok od nich. Wówczas dostrzegała „Ciemnotę, Nędzę i Występek, przykucające u jednego ogniska,“ widziała młodą dziewczynę, oszukaną przez kochanka, opuszczoną przez krewnych, jak pokonana przez zimno i głód, zmuszona jest wykupić hańbiący bilet prostytutki — widziała ją pijaną, chwiejącą się na nogach, wyjącą bezecne piosenki, i zaniepokojona, panna Robinson zapytuje: „Kto jest odpowiedzialny za zbrodnię? Ona, kochanek, czy bracia? Czy też ja, która nie uczyniłam ani jednego poruszenia?“ Autorka trąca tu prawdę łokciem. Tak, pani, to twój bezecny sen, twój samolubny popęd, odziany w tak piękną i fantastyczną tkankę przez rozigraną wyobraźnię, twoja bezczynność i nieświadomy wyzysk, i podobne zalety całej armii tobie podobnych popchnęły tamtę nieszczęśliwą na ulicę. Dziwna rzecz, że też żaden poeta-romantyk w pięknym, świątowym bohaterze nie spostrzega młodego patrona, tuczącego się cudzą pracą, że też nie widzi, iż delikatne sadło, lśniące pod białą skórką „piersi srebrzystych“ i „łabędziej szyi“ nadobnej bohaterki, wyssane zostało ze znoju lic wybladłych! Autorka słabo to przeczuwa.

Ale niestety chwilowe przebłyski godności ludzkiej szybko gasną. Pani Robinson układa się znowu do snu bez końca, gdyż „litość i współczucia“ także ją „nużą,“ a zresztą z obojętnością daleko jej lepiej do twarzy. „Noc bezgraniczna zapanowała w jej duszy“ — układa się więc znowu do swego „far niente.“ Przestała walczyć: napróżno bowiem przykładała spragnione usta do życiodajnej piersi natury, napróżno szukała zapomnienia w szumiącym kielichu użycia, napróżno starała się stworzyć sztuczną atmosferę obowiązków— nic nie potrafi zapełnić pustki jej serca i... głowy. Jest to newroza, na którą lekarstwa niema.

Jedyna jej pociecha pozostanie w Bogu. Ale, niestety, p. R. nie wierzy. „Bieg życia sprowadził mi wielkie zło: zabrał mi wiarę szczęśliwych — mówi ona — i od tego czasu błąkam się po świecie ludzi, jak widmo wygnane z kraju cieniów.“ „Nauka“ pozbawiła ją wiary, ale tak samo, jak niema szlachcica, któryby, stawszy się demokratą, szczególniej polskim, nie czuł w głębi duszy szacunku dla ślepej wrony lub oślego ucha, sterczącego mu z herbu, również niema kobiety, która straciwszy wiarę, zachowałaby w jakimś skrytym zakątku serca malutkiego bożka. „Pozostawiam obecnie, jako bezsilne, modlitwy, które niegdyś dawały mi ulgę i dusza moja, jakkolwiek niema już ojca, uchyla się z wiarą daleko goręcszą przed *boskiem* nieobjawionem“ — mówi autorka. Wreszcie przytoczymy namiętną jej modlitwę, która jest zupełnie słuszną. „Zaiste, zbyt długo bawię tu, na dole z memi nudami i tęsknotą: znaczy to zabierać miejsce innych. Miejcież litość, o wy, siostry, prządki odwieczne, miejcie litość! Opuśćcie pasmo stargane, zerwijcie splątany kłębek, błagam was! I nawiążcie świeżą nić, zdrowszą i mocniejszą.“ Są to ostatnie echa przebrzmiałego „Weltschmertzu“— dodajcie do tego chorobliwą miłość, damy blade o miłosnych spojrzeniach, minstreli grających na złotej lutni, która się okazuje sercem autorki — a otrzymacie wszystkie, oddawna znane sztuczki i efekty romantyzmu. A jednak miss Robinson jest pod wielu względami oryginalną: wspaniały styl, głębokie uczucie, polot fantazyi — oto jej zalety. Pierwsze twory silnie przypominały wprawdzie Keatsa Shelleya, a głównie D. G. Rosettiego, ale za to „Nowa Arkadya“ (1884), „Ogród włoski“ (1886) i nareszcie „Pieśni i ballady“ (1889) są zupełnie samodzielne. Ponieważ autorka jest jeszcze młoda — liczy trzydzieści lat zaledwie — więc miejmy nadzieję, iż otrząśnie się z czasem ze swej dość bezmyślnej melancholii — a wówczas zajmie ona niewątpliwie pierwsze miejsce na parnasie angielskim, chociażby dlatego, iż źródło poezyi wyschło w Albionie, a istniejący jego śpiewacy — to starcy, spoglądający w grób.

Leon Winiarski.

TEATR.

K. Zalewski, *Oj ci mężczyźni, mężczyźni!*, krotochwila w 4 aktach.

„Och mężczyzni, mężczyzni!" — z taką niezbyt surową apostrofą występuje p. Zalewski przeciwko podstarzałym lowelasom, którzy miłosnymi listami swej przyjaciołki, p. Amelii Tichard, wprowadzają często nieporozumienie między młode stadła małżeńskie. Listy takie, pozostawione w mieszkaniu pod nieobecność kochliwego „wujaszka" Bisturkiewicza, biorą do siebie dwaj młodzi małżonkowie, znajomi owej damy z kawalerskich czasów i starają się uprzedzić wizytę, jakoby im zapowiedzianą, właściwie zaś wujaszkowi, do którego z żonami zajechali w gościnę. Skutkiem tych starań żony posądzają mężów o zdradę, rzecz zaś całą ma wyjaśnić wezwany na naradę ojciec jednej z żon, Onufry Kretoński, były adwokat. Lecz i ten, oczarowany wdziękami i wzruszony zmyśloną opowieścią o nieszczęściach Amalii Tichard, sam w jej sidła wpada. Z niepewnego położenia wyprowadza wreszcie wszystkich przyznanie się do grzechów samego wujaszka, który miał sposobność przekonać się, że przyjaciółka zdradzała go dla herkulesowych kształtów artysty cyrkowego, nazywanego „człowiekiem latającym." Powaśnione stadła małżeńskie godzą się i wszystko wieńczy koniec, godny najlepszego ze światów. Tylko poprzednio owa dama, będąca przyczyną tylu nieporozumień doświadcza niespodzianie silnej ręki „artysty," który wpadłszy podchmielony do jej buduaru, tłucze wszystkie sprzęty ozdobne, przyczem i wujaszkowi coś się dostało.

Oto nader zwięzła treść sztuki, którą p. Zalewski przybrał w formę czteroaktowej krotochwili. Jest ona rodzoną siostrzycą wielu tego rodzaju sztuk francuskich, których, niestety, zbyt często przypatrywać się musimy na scenie warszawskiej. Spotykamy też tam postacie znane, a nawet obce nam zupełnie, jak francuskiej kokoty i cyrkowego berejtera. Charakteru więc swojskiego krotochwila ta nie posiada; nie zabarwia jej nawet w ten sposób p. Onufry Kretoński.

Najlepiej, zdaniem naszem, udała się autorowi francuska i służący bogatego wujaszka. Tym postaciom, wziętym z życia, p. Z. przypatrzył się doskonale i umiejętnie przeniósł je na scenę.

Występujący artyści, szczególniej p. Lüdowa i p. Rapacki, grą koncertową tuszowali nieco pieprzną przyprawę sztuki. Posiada ona bez zaprzeczenia wiele zalet scenicznych, żywo i dowcipnie toczący się dyalog a w 1 i 3 akcie wiele obrazów pełnych werwy i humoru.

Nazwa krotochwili może rozgrzeszy autora z owej sytuacyi, w której artysta cyrkowy bije sprzęty i... ludzi w buduarze francuski, a nas zwolni od szukania głębszych zamiarów autora.

Cień.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Reforma gimnazyów klasycznych. — Prawdziwe jej rysy i różnice w odniesieniu do szkół naszych. — Jubileusz przewodnika młodzieży. — Zgon *Kłosów*. — Pożegnanie pp. Lewentala i Pługa. — Straty materyalne i krzywdy moralne. — Przyczyny ataków. — Przeceniane własnych zasług. — Kurczenie się naszej prasy. — Rada. — Wskrzeszona postać wielkiego poety.— Przybliżony rachunek jego wpływu.

Według pism ruskich, reforma gimnazyów klasycznych skrystalizowała się już w Radzie państwa na podstawie projektu ministra oświaty i od nowego roku szkolnego ma być zastosowaną. Zaprowadzone wszakże przez nią zmiany nie sięgają tak głęboko i daleko, jak snute z samej pogłoski domysły dziennikarskie. Jak wiadomo, dziwnie czasem kapryśny los dał obecnie węgrom rolę wyrabiania nowych modelów dla życia społecznego. Po zaprowadzeniu opłat strefowych za jazdę kolejami żelaznemi, powzięli oni równie śmiałą myśl usunięcia ze szkół średnich języka greckiego. Myśl ta zaprószyła fantastyczne głowy i zrodziła w nich przywidzenie, że i w wypadku bliżej nas obchodzącym nastąpi powolna lub szybka zagłada klasycyzmu. W możliwość sprawdzenia się podobnego snu na jawie nie wierzyliśmy — i słusznie. Niema bowiem mowy o usunięciu dawnego systemu edukacyi publicznej, tylko o poprawieniu go w niektórych punktach. Jak donoszą tedy *Russk. Wiedomosti*, mają być pomnożone lekcye: religii, historyi, zwłaszcza ruskiej, języka ruskiego i rysunków, zmniejszone zaś: greckiego i geografii. Zaznaczyć przytem trzeba, że zmiany te dotyczą głównie gimnazyów w Cesarstwie, od których odchylają się znacznie w swym typie tutejsze. Tak np. w pierwszych język ruski ma 2—3 godziny tygodniowo, w drugich — 6, powiększenie ich zatem odnosi się do pierwszych. Wogóle, zanim nowa ustawa zostanie ogłoszoną urzędownie, nie należy ogłaszanych jej artykułów w prasie brać dosłownie, lecz pamiętać o tych różnicach, które ona w dotychczasowym ustroju szkół napotka i które utrzyma. Bądź co bądź, podstawa klasyczna gimnazyów pozostanie niezmienioną.

Lato jest zwykle porą zjazdów koleżeńskich, których w tym roku odbyło się lub odbędzie kilka. Między innemi wszakże wyróżniono w opinii publicznej zebranie uczniów szanownego pedagoga Jana Pankiewicza, którzy uczcili 50 rocznicę jego pracy nauczycielskiej. Praca taka jest cichą, jej dowody zamykają się w bezpośrednim stosunku kształcących z kształconymi; jedynem więc świadectwem jej wagi społecznej jest wdzięczność ludzi dojrzałych dla przewodnika swej młodości. A świadectwa tego rodzaju są zawsze wiarogodne. Uczucia sympatyi pod zimnymi podmuchami czasu i życia stygną; jeżeli więc one przez lat kilkanaście lub kilkadziesiąt pozostają gorące w sercach, niewątpliwie zasługuje na nie ten, kto je w nich rozpalił. 150 uczniów Pankiewicza, w połowie już mających daleko po za sobą lata szkolne, a składających hołd swemu nauczycielowi, który tem tylko się odznaczył, że ich uczył i kochał — to 150 świadków pożytecznej i uczciwej jego działalności. Gdyby ona taką nie była, jakiż wzgląd zgromadziłby ich około niego? W podobną uroczystość przecie już nie mogą się wcisnąć żadne inne pobudki, prócz serdecznych i wdzięcznych wspomnień. Jedyna to publiczna nagroda dla rozumnych i zacnych przewodników młodzieży; niechże też oni ten wieniec otrzymują z rąk swych wychowańców, dopóki ich szereg ciągnąć się będzie.

Jeżeli warto umierać śród powszechnego żalu, to nie warto z nadzwyczajnem o sobie mniemaniem. Wyprawiono *Kłosom* pogrzeb bardzo przyzwoity, ale skoro był to— według ich współredaktora— „jeden z *najcelniejszych* organów prasy naszej," skoro — według ich wydawcy — „naród może kiedyś się spostrzeże, że stracił posterunek.... gdzie *najlepsi jego synowie* wartę trzymali," to doprawdy ani w rachunku wykazującym poważne straty, ani w moralnem wytłomaczeniu rozpaczliwego kroku nie widzimy wyjaśnienia, dlaczego p. Lewental wyrządził sobie tak wielką boleść, a ogółowi tak wielką krzywdę. Gdyby jakiś apostoł idei po 25 latach daremnego wysiłku, wyczerpany materyalnie i moralnie, rozbił w niemocy i zwątpieniu warsztat swej pracy, rozumielibyśmy go. Ma on prawo powiedzieć: jestem biedny i bezsilny, dalej działać nie mogę. Ale p. Lewental, pomimo — jak zapewnia w pożegnalnym numerze — 90,000 rubli straty podczas ostatnich lat ośmiu zamyka *Kłosy* jako człowiek bogaty i gdyby z tą samą drobiazgowością, co rachunek niedoboru w drugim okresie ich istnienia, przedstawił nam obraz zysków w pierwszym, może okazałoby się, że na tem przedsiębiorstwie nic nie stracił. Wogóle literatura go nie zubożyła, przeciwnie „odrzucała" mu szczodre dary, które stanowią znaczną część jego majątku. Niema chyba człowieka, któryby nie wszedł na to niewdzięczne pole, gdyby wiedział, że z niego zejdzie tak zrujnowanym i... zadowolonym, a nawet p. Lewental, gdyby jednocześnie prowadził był fabrykę porcelany i zamknął ją po 25 latach z podobnym bilansem, nie narzekałby, lecz powiedział: zyskiwałem i traciłem, ostatecznie zarobiłem. Literatura jest o tyle wygodniejszą od każdego innego przemysłu, że w niej publicznie można poskarżyć się i cierniem męczeńskim swe czoło ozdobić. Więc skarży się wydawca *Kłosów*, że był przedmiotem ciągłych i coraz częstszych napaści, że „żaden głos nigdy w jego obronie nie odezwał się," że „znikąd nigdy ani jednego nie zaznał słowa zachęty." Wierny jego towarzysz, p. A. Pług, akompaniuje mu w tej żałości: „Żadne uczciwe czasopismo *tej wartości* i tego umiarkowania, spokoju i trzeźwości w poglądach, tak stroniące (!) od wszelkich napaści i polemik nieprzyzwoitych (zobaczymy to zaraz) nie doznało od początku aż do końca swego istnienia tyle *złej woli* i *nieżyczliwości* ze strony *prawie całej* prasy, co *Kłosy*." Gdyby tak istotnie było, to niechęć „prawie całej prasy" musiałaby mieć w swych przyczynach nietylko „złą wolę i nieżyczliwość." Ale tak wcale nie było i zaiste nie pojmujemy, co obu elegistów skłoniło do przesady w przedstawieniu niepopularności swego organu. Z pochwał prasy dla pp. Lewentala, Pługa i *Kłosów* możnaby złożyć niejeden tom. Po za tą dla tragiczności malowidła użytą przesadą przyznać trzeba, że redakcye tego pisma i wydawcę często atakowano, padały jednakże zarówno kamienie napastnicze, jak i strzały odwetowe lub karcące. Pomijamy pierwsze, stanowiące sport lub spekulacyę paszkwilową, zastanowimy się tylko nad drugimi. P. Lewental utrzymuje, że szykanowano jego wyznanie. Rzeczywiście był on przedmiotem urągań antisemickich, ale także i nagan, które miały swoje uzasadnienie społeczne. Kiedy w prasie zaczęto skrupulatniej sprawdzać szczerość głoszonych przekonań, redaktor *Kłosów*, wyznawca mozaizmu i członek gminy izraelskiej, pasujący się na rycerza ultramontanizmu wojującego, musiał razić, drażnić i wywoływać przeciw sobie ostre wycieczki. Gdyby p. Lewental był poprzestał na przestrzeganiu zasad „humanizmu" i „tolerancyi," byłby niezawodnie ustrzegł się tych wycieczek. Tymczasem on bojował w imię tego, co nie było i być nie mogło jego szczerem wyznaniem wiary, a natomiast musiało być przez przeciwników uważane za przedmiot handlu. Jest to dla nas zdumiewającym dowodem niepamięci lub chęci zapomnienia, gdy p. Pług pisze w swem *pożegnaniu*: „Sądy nasze staraliśmy się *zawsze* wypowiadać spokojnie i poważnie, *nigdy* nie posługując się bronią szyderstwa, urągania lub insynuacyi; *unikaliśmy* polemiki *nawet wtedy*, gdy nas do niej napastnicy wciągnąć usiłowali." Czemu to, co minęło, nie ginie! Czemuż nie możemy uwierzyć, że *Kłosy* nie były jedną z twierdz zacieknego konserwatyzmu, z której odbywały się ciągłe i nieraz bardzo brutalne wyprawy na prasę postępową i jej członków! Zapewne od lat 20, kiedy zaczęła się ta walka, zapaśnicy obu stron dojrzeli, ba, nawet osiwieli i ochłodli w swych sądach i zmienili wzajemne o sobie przekonania. Jeśli wszakże chodzi o wspomnienia i wystawę cnót z przeszłości, wolno zapytać: które to pismo ogłaszało odezwy do na-

rodu, odzierające z czci pozytywistów? Które służyło ciągle różnym kaznodziejom społecznym do rzucania na tę „zakałę“ klątew? Które przed kilku laty, w sprawie całkiem go nieobchodzącej, otworzyło swe szpalty osobistej napaści na nas? *Kłosy*. A teraz ich redakcya dziwi się, że je atakowano i upewnia, że „nigdy nie posługując się bronią szyderstwa, urągania lub insynuacyi, unikała polemiki.“ Na to zdziwienie odpowiemy jednym przykładem — *Tygodnika ilustrowanego*, który nie wywołał przeciw sobie „złej woli i nieżyczliwości prawie całej prasy,“ bo wyzwań jej nie rzucał i bojowych sztandarów nie rozpościerał.

P. Lewental tedy nie ustąpił z pola zrujnowany materyalnie i skrzywdzony moralnie, a jeżeli miał rzeczywiście jakąś ideę, jakiś „humanizm,“ to na szerzenie i obronę tej idei stać go było dalej, może w postaci wydawnictwa mniej kosztownego, aleź przecie „humanizm“ niekoniecznie potrzebuje wytwornych ilustracyj i drogiego papieru. Nie środków więc, nie zadowolenia moralnego brakło p. Lewentalowi, ale właśnie miłości i wiary w ideę. My, biedacy, prowadzący walkę o byt ze strasznym wysiłkiem, zdobywamy się na ciężkie ofiary, pracujemy, jak woły i wydajemy pisma, które albo się nie opłacają, albo zaledwie pokrywają swe koszty, a p. Lewental nie mógłby sobie tego pozwolić dla swego „humanizmu“? Cofnął się, bo zarówno w jego działalności, jak w jego pożegnaniu zbyt ważną sprężyną była próżność. Wiele już i bardzo pożytecznych pism u nas zawieszono, ale nigdy z takiem pompatycznem samochwalstwem. Ojcowie kładli do grobu swe dzieci smutnie, ale milcząco i cicho. Tymczasem p. Lewental wyprawił swym *Kłosom* stypę tak okazałą, wypowiedział na niej mowę tak dumną, jak gdyby zamykał księgę myśli narodowej. Nie pominął z historyi pisma najdrobniejszych szczegółów, opowiedział, jak, kiedy i od kogo je nabył, w którym domu i przy której ulicy zawierano umowy, który rejent spisywał akty kupna, których senatorowie składali komplet sędziów rozstrzygających proces z *Gazetą polską*, gdzie i w jakiej ilości odbywały się posiedzenia redakcyjne itd. Czytając to wszystko, zdaje się, że znikła arka przymierza i że jej arcykapłan tłomaczy przed strapionym ludem powody tej okropnej straty.

A jednakże po otrząśnięciu z *Kłosów* tej ich łuski, pomimo że *Prawdę* oprószały one nieraz swą śniedzią, żałujemy szczerze ich zgonu. Czy tam kiedyś — jak mniema p. Lewental — sądzić je będzie „historya“ — to mniejsza; ważniejszym jest fakt, że z woli, a nie z potrzeby umysłowej społeczeństwa prasa nasza coraz bardziej się kurczy i że znowu zanikł organ, który je duchowo odżywiał. Odcedziwszy zeń pianę, na dnie tego stłuczonego kielicha bywały krople wiedzy, uczuć czystych i pokrzepiających. Była to lampka, która czasem kopciła, ale także grzała i świeciła. Po zgaśnięciu jej o jakąś różnicę zrobiło się w kraju ciemniej i zimniej. To też gdyby nasze zdanie, z dbałości o rozwój prasy poczerpnięte, mogło tu wywrzeć wpływ, radzilibyśmy p. Lewentalowi, aby pod inną postacią *Kłosy* wskrzesił. Mówimy pod inną, bo zapewne układ z *Tygodnikiem ilustrowanym* i niedobór 12,000 rs. rocznie na dotychczasową mu nie pozwalają. Niespełnionych a ważnych zadań, którym warto byłoby poświęcić siły, mamy jeszcze dosyć; niech więc p. Lewental jedno z nich sobie wybierze. Przy swych zasobach, gotowych środkach technicznych i pomysłowości a skromniejszych granicach przedsięwzięcia może szczerbę zapełnić z pożytkiem i z powodzeniem. My powinniśmy naśladować naturę, która niczego nie marnuje i nawet to, co zabija, na inne życie przerabia. Przez zwinięcie *Kłosów* pewna ilość głów i rąk pozostanie bezczynną lub niespożytkowaną; a jednakże ta sum sił przy umiejętnem skierowaniu ich mogłaby owocować produkcyjnie i zmienić się na dobro społeczne. P. Lewental, zapomniawszy o swych osobistych żalach, powinienby o tem pomyśleć, a wysłuchawszy bezstronnej krntyki, wysłuchać następnie obywatelskiej rady.

* * *

Jakiekolwiek sprawy poruszylibyśmy dziś, wszystkie są drobnymi pyłkami wobec tej olbrzymiej i świetlanej postaci, którą zmartwychwstaje w pamięci naszej przy przewiezieniu śmiertelnych jej szczątków z Paryża do Krakowa. Dziś już święte czcią społeczeństwa relikwie najgenialniejszego z pisarzów polskich spoczywają w nowym grobie. Śród jakich objawów tej czci odbyła się uroczystość, doniesiemy czytelnikom później, gdyż w chwili, kiedy to piszemy, dzień ów jeszcze nie nadszedł. Pisano o nim wiele, a zwłaszcza w ostatnich czasach, dzięki Towarzystwu jego imienia, stał on się przedmiotem bardzo troskliwych poszukiwań i rozważań. Nie wyrażono wszakże dotąd jego wpływu w cyfrach, nie obliczono dokładnie, w jakiej liczbie rozeszły się jego utwory w granicach języka ojczystego i obcych. Ktoś dla nas robi ten (w każdym razie tylko przybliżony) obrachunek — nie wiemy jednak, czy zdoła zebrać dane, upoważniające do wniosków rzetelnych.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Dalsze zabiegi piotrkowian o swoją arteryę kredytową. — Umizgi kapitalistyczne. — Bezczelne cyfry. — Spółka teatralna polska w Łodzi. — Ćmielów. — Życzliwa rada. — Pierwsze kroki Banku włościańskiego. — Nabytek Sieradza.

Świat kupiecko-przemysłowy Piotrkowa nie daje za wygraną, spodziewa się sprawę instytucyi kredytowej u siebie załatwić w myśl swoich życzeń. W początkach maja delegacya, złożona z dwu osób wręczyła ministrowi skarbu podanie o pozostawienie w Piotrkowie nadal operacyj wekslowych i likwidacyi po byłym Banku polskim. Podanie było przyjęte przychylnie przez ministra. Ponieważ zamknięcie oddziału piotrkowskiego stało się faktem niecofniętym, pomimo więc złożonych ofert na koszty zarządów, miano tylko nadzieję, że operacye wekslowe wraz z częścią innych bankowych dołączone będą do Izby skarbowej. Całą sprawę przekazano komisyi, obradującej nad uregulowaniem sposobu postępowania przy Izbie skarbowej z interesami bankowymi Piotrkowa, jak np. depozytami, przekazami i książeczkami oszczędnościowemi. Na wieść o tem, że komisya rzeczona doszła do sprzecznych poglądów na sprawy wekslowe przy Izbie skarbowej, jeden z poprzednich delegowanych powtórnie udał się do Petersburga 23 czerwca i ponownie prosił ministra w imieniu mieszkańców o utrzymanie w Piotrkowie wszystkich czynności oddziału na lat 2—3, wyrażając nadzieję, że w ciągu tego czasu przy energicznym zarządzie niektóre wydatki się pokryją, lecz i niedobory lat zeszłych wyrównają. A motywy, użyte w podaniu, były poważne: zaznaczono nietylko możliwość ruiny będących w likwidacyi, lecz i części nowoprzypuszczonych do kredytu oddziału, do którego nowych wymagań przystosowali się. Co się zaś tyczy operacyj przekazanych Izbie skarbowej, to państwo na nich nie zarobi, bo one wraz z wekslowemi poprzednio się do sąsiednich oddziałów Banku lub wprost — upadną. Minister na utrzymanie chociażby czasowe oddziału Banku nie zrobił prawie żadnej nadziei. Wtedy delegowany po inny rozum poszedł do głowy: doręczył ministrowi podanie o otwarcie w Piotrkowie już raz odmowionego „towarzystwa kredytowego miejskiego.“ Sprawę tę minister przyrzekł rozejrzeć, zrobił jednak uwagę, że dla żądanej instytucyi Piotrków jest jeszcze za małem miastem.

Dziennik łódzki donosi o niezmiernie charakterystycznym w naszych czasach fakcie. Dnia 22 czerwca 1890 r., w niedzielę, lasek obok fabryki p. S. Rosenblatta w Łodzi był świadkiem widowiska, tj. komedyi społecznej p. t.: „Kochajmy się!“ Aktorami w niej byli najmici, a reżyserem przedsiębiorca. P. Rosenblatt urządził zabawę dla robotników i oficyalistów ze swojej fabryki. Bawiono się do godziny 7-ej wieczorem. W tańcach uczestniczyła rodzina fabrykanta wraz z dyrektorami i rządcami fabryki. „Jeden z szefów p. Maksymilian Rosenblatt — powiada polski organ miejscowy— urozmaicał zabawę niespodziankami, w postaci przedmiotów wartościowych, o zdobycie których odbywały się konkursy. Oficyaliści i robotnicy stawali do wyścigów pieszych i kto pierwszy dobiegł do mety, otrzymywał nagrodę, których było kilkanaście. Na zakończenie zagrano marsza, przy którego dźwiękach opuściło miejsce zabawy przeszło 70 uczestników, żałując, że czas tak prędko upłynął.“ Drugiej takiej samej komedyjki tegoż dnia był inicyatorem inny fabrykant, imieniem „Schwartz, Birnbaum i Löw.“ Tak samo „szefowie“ fabryki kierowali osobiście zabawą, podejmowali gościnnie wszystkich uczestników, zachęcając do wesołości i swobody własnym przykładem. „Na salę tańca przekształcono wielki śpichrz fabryczny, który przystrojono wieńcami, girlandami i kwiatami. W zabawie tej, w której uczestniczyło około 750 osób, jedną z chwil interesujących był także wyścig pieszy. Cztery nagrody, w postaci materyału na ubranie, zdobyli chłopcy, którzy najprędzej przybiegli do mety.“ Podczas tej zabawy nie zapomniano i o filantropii: zebrano pewną sumę.“ Jak to poczciwie i zarazem jak mądrze. Zachwyt byłby silniejszy, gdyby na miejscu „blattów“ i „baumów“ stał jaki „ski“ lub „icz.“ Co za łzy rozrzewnienia płynęłyby wtedy z oczu, na widok tych dążeń do zacierania antagonizmów w łonie całości... Ale mnie to tymczasem co innego przypomina: uroczystość poświęcenia fabryki nowootwartej w Rheindahlen w roku zeszłym, wielkiej o 200 krosnach tkalni Müllera i Spółki, z tą tylko różnicą, że tam z większym i wspanialszym, niż w Łodzi, przyborem dekoracyi teatralnej „święto jedności interesów“ obchodzono — zresztą pod kierownictwem Hitz'ego, który jest wytrawnym hypnotyzerem społecznym. Czytelnika ciekawego szczegółów odsyłam do czasopisma tego zasłużonego męża na polu katolickiego organizowania żywiołów wstecznych (*Arbeiterwohl*, 1889. Viertes Quartal).

Według statystyki przemysłu łódzkiego prowadzonej w magistracie miejscowym okazuje się, że w r. 1889 we wszystkich zakładach przemysłowych m. Łodzi pracowało 29,449 robotników (w tej liczbie poddanych obcych 1,322). Suma zarobków wypłaconych w tymże roku *wszystkim* ma wynosić 6,853,329 rs. Wszystkie zakłady przemysłowe przerobiły materyału surowego, nabytego za granicą, za 14,851,482 rubli i w kraju — za 16,671,0004; cały ich wytwór przedstawiał wartość rs. 53,245,276. Sprzedano w ciągu roku 1889 towarów z fabryk łódzkich ogółem — za 33,505,940 rs. Ciekawy też jest budżet fabryk Scheiblerowskich z zeszłego roku, pomimo, iż go do „najniepomyślniejszych“ lat dla przemysłu bawełnianego zaliczają. Czystego zysku osiągnięto 1,310,126 rs., prócz 630,083 rs., na amortyzacyę i kapitał zasobowy przeznaczonych.

Przystało tak dużemu miastu, jak Łódź, która drugie po Warszawie w kraju miejsce zajmuje, zdobyć się na stały teatr, zamiast dotychczasowych gromad luźnych, koczowniczych, które o nią zawadzały tylko. Jakoż w myśl tej przyzwoitości miasta cywilizowanego zdobyła się na spółkę teatralną. Zawiązał ją p. Kopczewski. Dzia-

łalność swą już rozpoczęła od skompletowania towarzystwa dramatycznego. Tego nie dość, że administracya przedsiębiorstwa zorganizowaną ma być „na podstawach kontroli“ i racyonalnej gospodarce finansowej; jeśli nie znajdą się w Łodzi szczerzy a wytrwali miłośnicy teatru polskiego, spółka nie na wiele się zda. Bądź co bądź, życzę jej powodzenia.

Spółka może, ale Ćmielów już zdaje się upadać—przynajmniej tak wnosić można z *Gazety radomskiej*. Jak wiadomo, w Ćmielowie istnieje jedyna w kraju fabryka porcelany i naczyń kamiennych, i, o ile „ścisłe obserwacye“ ludzi bezstronnych i życzliwych, od których korespondent wie, nie mylą, chylić się ma do upadku, a to z powodów następujących. Właścicielem jest „dziedzic włości obszernych,“ człowiek najlepszych chęci, ale młody i bez uzdolnień fachowych. Fabryka pozostaje w ruchu tylko kosztem wielkich jego nakładów. Wobec braku człowieka kompetentnego i dobrego kierownika, gospodarka jest prowadzona nieumiejętnie, rozrzutnie i bezładnie — z typowem niedołęztwem szlacheckiem. *Gazeta radomska* zachęca właściciela, żeby ze względu na rozgłos fabryki, mającej za sobą tradycyę, oraz dobro mieszkańców Ćmielowa rozpędził „liczne szeregi buchhalterów, administratorów i pisarzy,“ a powierzył kierunek fabryki fachowo uzdolnionemu dyrektorowi, któryby podniósł wydajność i dobroć produkcyi ku pożytkowi i chlubie rodzimego przemysłu. Jeśli rada zostanie wysłuchaną i ręka z powolnej stanie się sprężystą, „liczne szeregi“ będą mogły powtarzać sobie: *per aspera ad astra!*

Organ radomski miewa czasem twarz Katona. Podziwu godna jest jego niezależność wobec „sfer wpływowych“ i odwaga, z jaką wyzywa ich gromy. Oto np. „najserdeczniej“ uprasza wszystkich pracowników życzliwych drogi żelaznej Iwangrodzko-Dąbrowskiej o przesyłanie faktów i wiadomości. „Wydajemy *Gazetę* w obronie prawdy!“ — wykrzykuje. „Odpowiedzialność za wiadomości przesyłane redakcya przyjmuje na siebie“ (cztery wyrazy ostatnie heroicznie są podkreślone). I widać ludziska, zapewnieniem tak uroczystem zachęceni, uchylają niekiedy zasłony, kryjącej wstydliwość Towarzystwa, bo oto np. wiemy z „Kuryerka kolejowego“ w *Gazecie*, że los najmitów warsztatowych tam jest zupełnie niezabezpieczony, nie mają oni: ani kasy przezorności, ani emerytalnej, ani zaliczkowo-wkładowej, do której zapewne, wyręczając mizerotę najmicką, chyba redakcya sama podejmie się wkładać. „Czy tak być powinno, żeby zarząd drogi w Warszawie i miejscowy nie pomyślał dotąd (od lat sześciu) o zabezpieczeniu losu ludzi, pracujących ciężko z pożytkiem i korzyścią dla akcyonaryuszów?“ Bardzo słusznie, ale dam życzliwą radę *Gazecie*. Nie dość jest palcem pokazywać w jedną tylko stronę: wyzysk i nadużycia nie są monopolem; pożądanem więc byłoby odsłaniać te kwiatki wszędzie, skąd jeno woń ich doleci.

Dowiadujemy się od korespondenta *Gazety rolniczej* z Janowskiego, że tam Bank włościański ujawnił już swoje istnienie „znacznym“ szeregiem majątków sprzedanych parcelacyjnie na jego pożyczkę. Do tej liczby — o której, nawiasem mówiąc, korespondent nie powiadamia — przybyły: Mniszek i Sucha Wólka pod Annopolem, w glebie piaszczystej położone i „mocno zdewastowane.“ Mniszek, wynoszący 1,079 mor. nowopolskich, dostał się w ręce chłopskie z żydowskich, bez inwentarzy, bez zasiewów, z napół rozwalonymi budynkami, po 50 rubli mórg. Z Suchej Wólki sprzedano dotąd dwie duże kolonie 102 i 108 morgów, lekko piaszczyste z łąkami, ale też bez inwentarzy i obsiewu — po 60 rubli mórg. Z Łęczyckiego znów donoszą, że w r. 1888 włościanie nabyli gruntów dworskich prawie 10,000 morgów nowopol., za sumę około 600,000 rs. Teraz zaś, dzięki udziałowi Banku, podobne tranzakcye szersze przybierają rozmiary. Ale zaniechajmy tej zbieraniny drobnych i ginących na przestrzeni kraju objawów; dopiero przyszłe sprawozdanie Banku da nam bliższe pojęcie o jego postępach u nas.

Do szczupłej liczby miejscowości w kraju posiadających kasy zaliczkowo-wkładowe przybywa Sieradz, gdzie, według wiadomości *Swieta*, powstaje ta instytucya przy magistracie z zapisu niejakiego Dąbrowskiego (2,400 rs.). Pożyczki wydawać ona będzie mieszkańcom miasta za $^2/_3$% miesięcznie (8% rocznie), a przyjmować depozyty na $\frac{1}{2}$% miesięcznie (6% rocznie). Wysokość pożyczki niema przenosić $^1/_3$ wartości majątku nieruchomego i nie może być większą nad 200, za poręczeniem nie większą nad rs. 50. Niezamożni otrzymywać mają z kasy zapomogi bezzwrotne (!).

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Redaktor Prawdy wyjechał za granicę.

Szkoły. W folwarku Brzozowo, należącym do Sobieszyna, będzie otwartą z funduszu Kickiego niższa szkoła rolnicza z kierunkiem praktycznym dla ludności wiejskiej.

— Powstaje w Warszawie szkoła wyrobu koniaków, likierów, nalewek, wina szampańskiego i konserwacyi, oraz kiprowania wszelkiego gatunku win krajowych i zagranicznych.

— *Rusk. Wied.* donoszą, iż rozchodzące się pogłoski o utworzeniu przy uniwersytetach wydziałów agronomicznych, są bezpodstawne. Wyższe zakłady rolnicze będą zachowane, chociaż ulegną gruntownej reformie.

— *Now. Wr.* donosi, iż wobec zdarzającego się w ostatnich czasach wysyłania żydów, relegowanych z uniwersytetów i innych zakładów naukowych do miejsc ich zamieszkania, departament policyi wykonawczej rozesłał okólnik wyjaśniający, że izraelici, którzy ukończyli gimnazya, mogą wstępować do uniwersytetów, akademij i innych wyższych zakładów naukowych w całem państwie. Podczas przebywania w zakładzie naukowym żydzi mogą zamieszkiwać wszędzie; z chwilą jednak wystąpienia z uniwersytetu i innego zakładu naukowego, nie nabywają żadnych praw i powracają do pierwotnego stanu rzeczy. Skutkiem tego uwolnieni lub usunięci z zakładów naukowych żydzi powinni być wysyłani do miejsc zamieszkania, oprócz tych, którzy udają się do rodziców, posiadających prawo zamieszkiwania w całem państwie.

— Wskutek zapytania jednego z kuratorów okręgu naukowego, jakiej opłacie stemplowej podlegać mają podania o dozwolenie składania egzaminu na nauczycieli i nauczycielki domowe i początkowe, oraz na stopień pomocnika aptekarskiego, ministeryum oświaty wyjaśniło, iż podania takie winny być zaopatrzone marką 80-kopiejkową.

Wiadomości społeczne. W *Gazecie lekarskiej* i *Medycynie* dr. Kadler podaje projekt założenia czytelni specyalnej.

— *Now. Wr.* podaje wiadomość o projekcie założenia w Warszawie teatru ludowego i że podanie w tym przedmiocie wniesiono już do władzy. Pismo powyższe, zwracając uwagę na spory procent ludności robotniczej w naszem mieście, popiera pomysł. Fundusze na założenie teatru podobno przyrzekli w znacznej części zamożniejsi fabrykanci.

— Właściciele dorożek warszawskich wnoszą podanie do p. oberpolicmajstra o zniżenie taksy za kurs jednokonnych do 15 kop. i parokonnych 20 kop.

— Pocztowe kasy oszczędności w tych dniach będą otwarte w Warszawie, jedna na placu Wareckim, druga w urzędzie telegraficznym.

— W Hamburgu utworzył się socyalno-ewangielicki związek robotniczy z tendencyą antisocyalistyczną.

— W Paryżu powstało Towarzystwo przyjaciół Rosyi, którego komitet wzywa do udziału wszystkich francuzów bez różnicy partyj, uznających serdeczną zgodę z Rosyą, jako rekojmię niezawisłości dla Francyi.

— Pewna liczba młodych prawników, kończących w r. b. uniwersytet, zamierza osiąść na prowincyi w małych miasteczkach. Z tego powodu *Gazeta sądowa* wyraża życzenie, aby przed tem odbyli choćby kilkomiesięczną praktykę w kancelaryach obrońców warszawskich, dla praktycznego przygotowania się do zajęć.

Sprawy kolejowe. Główném zadaniem projektowanej sieci stacyj meteorologicznych na kolejach żelaznych będzie informowanie rolników o pogodzie. W tym celu na wszystkich pociągach wywieszane będą kolorowe sygnały, oznaczające warunkowe przepowiednie pogody na najbliższe dni; na wszystkich zaś stacyach rozlepiane będą mapy synoptyczne pewnego obszaru.

— Ministeryum komunikacyi projektuje specyalny wydział kontroli rządowej nad taborem ruchomym kolei. Wydział ten, niezależny zupełnie od departamentu kolejowego i podwładny ministrowi komunikacyi, zbierać będzie statystyczne dane o taborach ruchomych, o ich ruchu i zdolności przewozowej kolei. W razie zwiększonego przewozu, w czasie pokoju lub wojny, wydział rozporządza całym taborem wszystkich kolei w państwie i oddaje go z jednej drogi na drugą, przyczem norma wynagrodzenia za użycie taboru i ustanowienie taryf przewozu powinny być obliczone według istniejących przepisów.

— Urzędnicy kolei Wiedeńskiej zrobili zbiorowe podanie o wyznaczenie stałego funduszu na opłatę mieszkań, motywowane trudnymi warunkami istnienia.

— Na wiosnę postanowiono przystąpić do budowy kolei od wschodniego brzegu Bajkału do Srieteńska.

Wystawy. Powszechna wystawa sadownictwa i ogrodownictwa otwarta będzie w Petersburgu 11 sierpnia r. b.

— W Taszkiencie 12 września r. b. będzie otwarta turkiestańska wystawa rolniczo-przemysłowa.

— W Berlinie otwarto pierwszą powszechną wystawę koni i wystawę piwowarską.

— W Bremie otwarto wystawę handlu i przemysłu.

Zjazdy. Trzeci zjazd przedstawicieli ruskich instytucyj poprawczych rozpocznie swe posiedzenia 28 b. m. w Muzeum historycznem w Moskwie. Przyjmą udział profesorowie uniwersytetów.

— Międzynarodowy kongres telegraficzny w Paryżu uchwalił znaczne zniżenie taryf w międzypaństwowym ruchu telegraficznym. Najbardziej zniżono taryfę depesz między Rosyą i Francyą — z 50 na 40 centimów od wyrazu.

— Do ministeryum dóbr państwa wniesiono projekt organizacyi corocznych zjazdów rolników w oddzielnych powiatach. Tego rodzaju zjazdy powiatowe mają stanowić ogniwa, łączące dany okrąg z centralnem Towarzystwem rolniczem gubernialnem, które ze swej strony byłoby pośrednikiem pomiędzy organizacyą ziemiańską a wyższą władzą, zajmującą się sprawami rolnictwa.

Cholera nie ustępuje z Hiszpanii, ale też nie przechodzi po za jej granice. Pogłoski o posuwaniu się zarazy w głąb Europy okazały się mylne.

Marya Wisnowska, artystka teatrów warszawskich, znaleziona została zabitą w obcem mieszkaniu (przy ul. Nowogrodzkiej, nr. 14). Wynik śledztwa urzędowego dotąd nie jest jeszcze znany.

Bibliografia. Marian Matsonius (aus Minsk), *Ueber Kants transcendentale Aesthetik* (rozprawa na stopień doktora filozofi), str. 176, Lipsk.

— Dr. L. Neugebauer, *Kilka słów o hygienicznem znaczeniu sportu kołowego* (według odczytu prof. Nussbauma), str. 15, Warszawa.

Zmarli. Jan Jerzy Hillensperger, w Monachium, malarz historyczny.

— Karol v. Leitner, w Gratzu, najstarszy poeta austryacki.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Filosanowi. Alegorya zbyt przejrzysta, a rozwinięta w sposób zbyt prosty i nieartystyczny.

Panu C. N. Tak, małżonką jego morganatyczną była Elżbieta Grabowska, wdowa po Janie, generale wojsk litewskich, Szydłowska z domu. „Pani (*kasztelanowa*) Krakowska,“ rodzona siostra Stanisława Augusta, miała kolejno dwu mężów: Jana Klemensa Branickiego (hetm. w. k., kaszt. kr.) i Andrzeja Mokronowskiego, wojew. mazow. (z którym tajemny ślub zawarła).

Jednemu z prenumeratorów. Patent z ukończenia sześciu klas wystarcza; pierwszeństwo jednak mają kandydaci z wyższą kwalifikacyą naukową. *Sprawowanie wzorowe* (oznaczone cyfrą *5*) *jest warunkiem koniecznym*, stanowiącym o przyjęciu do instytutu. Wpis wnosi się w dwu ratach, na początku półrocza, po rs. 12 k. 50.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 22 Іюня 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.